

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 45. Warszawa, dnia 30 Października (11 Listopada) 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . „ 4 —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.
miesięcznie. . . „ „ 50	w Prusach „ 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Ko walskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

I.

Najszlachetniejsze uczucia, najlepsze chęci obok życia z dnia na dzień, obok braku wszelkiej przewodniej myśli i charakteru, oto obraz, który spotykamy zarówno na szerokiej arenie naszego społecznego życia, jak i w ciaśniejszym zakresie domowego ogniska. I czemże w takiem położeniu są owe rozsławione nasze dobre chęci? Czyż trudne warunki codziennego życia nie urągają im bezlitośnie. Czy my sami wierzymy w nie na seryjo i czy staramy się o ich urzeczywistnienie? Bynajmniej. Pozornie okazujemy im głęboki szacunek. Na życiowem targowisku najpokorniej zdejmujemy przed niemi czapkę i głośno nie mówimy o nich inaczej, jak tylko z największem uszanowaniem... Któż jednak nie wie, że to tylko zwyczajna hypokryzyja, któż nie widział owych fałszywych poczciwców postępujących wbrew głoszonym przez nich zasadom? Stare to rzeczy, powiesz czytelniku. Zgoda że stare, ale choć stare to smutne... I gdzież leży przyczyna owego niewesołego położenia?. Przyczyna, drogi czytelniku, leży w braku wszelkiej znajomości warunków życiowych, zarówno całego społeczeństwa, jak i każdej pojedynczej jednostki. Tylko znajomość tych warunków może nadać odpowiedni hart zarówno zbiorowemu jak i jednostkowemu życiu, i owe dobre chęci uczynić wyrazem naszych rzeczywistych dążeń, nie zaś smutnem świadectwem naszego niedołęztwa...

A czemże w takim razie jest dom, dom który dla młodocianego organizmu jest całym światem, wśród którego wzrasta on i rozwija się; dom który winien być dlań najpierwszą szkołą życia; ten dom, który zaspakajając najdroższe potrzeby, daje człowiekowi dojrzałemu siły potrzebne w trudnej walce życiowej... Dom wtedy także jest szkołą, ale szkołą demoralizacyi, w której dziecko nabiera najszkodliwszych nałogów i gdzie zamiast wzrastać i rozwijać się, karleje fizycznie i moralnie; jest on areną, ale codziennych walk i niepokojów, gdzie się bezpotrzebnie zużywają siły potrzebne do pracy... Któż nie wie, że dom stać się może prawdziwem piekłem na ziemi, a atmosfera jego tak ciężką i przygniatającą, że obok niej lekko nawet oddychać w zadymionej i dusznej atmosferze knajpy... że przyczyną tego bywa zarówno materyjalna nędza jak i brak wszelkiego rozumnego urządzenia domu, nawet przy względnym dostatku—brak znajomości warunków, przy których dom zaspakaja właściwe mu potrzeby... i jako ostateczny rezultat brak wszelkiego charakteru, potrzebnego do urzeczywistnienia choćby najlepszych chęci.

Dom zarówno jak i inne działy społecznej pracy ma właściwy sobie zakres działalności, który należycie i umiejętnie wypełnić jest jego zadaniem. Tylko dom jest w stanie zaspokoić pewne potrzeby zarówno moralne jak i fizyczne, a jak ważne są te potrzeby dla życia jednostki i ogółu, wiesz o tem dobrze czytelniku...

Jeżeli więc dom w obec rozumnie pojętych potrzeb występuje jako jednostka, która wyłącznie i jedynie zaspakaja niektóre z nich, to musi istnieć umiejętność, której zadaniem będzie na mocy znajomości tych potrzeb i warunków, przy których rozwija się życie domowe, podać sposoby za pomocą których cel ten najpewniej i najlepiej się osiąga. Umiejętne skorzystanie z warunków w jakich obraca się życie domowe w celu utrzymania odpowiedniej równowagi między różnorodnemi potrzebami z jednej a środkami przeznaczonemi na ich zaspokojenie z drugiej strony, tworzy to co nazywamy *gospodarstwem domowem*. Czem jest owo gospodarstwo w rzeczywistości, tem jest ono i w pojęciu naszego ogółu. W rzeczywistości rozumne gospodarstwo domowe prawie nie istnieje, a wśród chaotycznych wyobrażeń jakie można napotkać o tym przedmiocie, wyróżnia się zaledwie jeden kierunek, uważający dom za miejsce w którem się zaspakajają przedewszystkiem gastronomiczne potrzeby. Dobrą też gospodynią nazywają zwykle osobę wtajemniczoną we wszystkie sekreta sztuki kulinarnej, osobę która potrafi przyrządzać zarówno wyborne zupy jak i wyśmienite pieczyste; osobę która obok tego wypieka tak wielką ilość przeróżnych ciast i legumin, iż samo ich wyliczenie przechodzi o wiele naszę kucharską erudycyją.

Gotowi jesteśmy owę panią nazwać dobrą kucharką, ale dobrą gospodynią nie nazwiemy, jeżeli przyrządzanie owych frykasów, dzieje się ze szkodą innych nierównie ważniejszych potrzeb, jeżeli kuchnia pochłania nie tylko całą uwagę światłej gospodyni ale i większość środków jakiemi dom rozporządza. Sprawy odżywiania grają bezsprzecznie ważną bardzo rolę w gospodarstwie domowem: gospodyni nie powinno być obce pytanie; co to jest pokarm? jakie jego rodzaje i jakie potrzeby organiczne on zaspokaja, ale dobra gospodyni domu winna jednocześnie zwrócić uwagę na to, czem jest odżywianie w ogólnej ekonomii

ludzkiego organizmu i czem ono być winno w stosunku do innych potrzeb jakie dom ma zaspokoić i środków jakiemi rozporządza. Jakie są skutki takiego wyłącznego zajęcia się kuchnią, nie trudno się przekonać. Okazy znajdą się na każdym kroku. Nadmierne zaspokojenie pewnych tylko potrzeb bez rozumnego kierownictwa, albo rujnuje zupełnie organizm, albo wytwarza owe tak często napotykane zaspane i opasłe figury, które przyzwyczaiły się sprawy żołądka stawiać na pierwszym planie między człowieczemi potrzebami a trawienie uważać za najważniejszy cel swego istnienia. Mizerne to istnienie! Jak wtedy idą sprawy wychowania i co się dzieje z innemi nie zwierzęcemi potrzebami, łatwo przewidzieć. A jednak taki kierunek przeważa u nas i w życiu i w pojęciach o domowem gospodarstwie. Podręczniki przepełnione są kulinarnemi przepisami, które zdają się zasłaniać sobą inne sprawy domowe i dom przemieniać w jednę wielką kuchnię.... Spotykają się jednak i idealne kierunki. Inna rzekoma gospodyni, będzie żywiła siebie i swoje dzieci ciasteczkami, karmelkami, pięknemi ubiorami, muzyką, uważając zajęcie się kuchnią i sprawami odżywiania za rzecz zbyt poziomą i nieodpowiednią jej wysokiemu ukształceniu. Zobaczymy więc tu inny zupełnie obraz. Przy denerwującej muzyce i mdłych cukierkach będziemy mogli obserwować interesująco wynędzniałą fizyjonomiję nietylko samej gospodyni, ale i wszystkich co mają szczęście należeć do domu tak podniośle pojmującego swoje zadania. Inna znów gospodyni czas swój i uwagę specyjalnie poświęca strojom, inna oddawaniu wizyt lub przyjmowaniu gości; inna jeszcze publicznym zabawom, spacerom, teatrom, sztuce i... nauce; spotkamy wreszcie i takie które znowu będą specyjalnie się zajmować męczeniem swoich dzieci, od czasu jak tylko chodzić, zaczną nieskończoną ilością bon, guwernerów, guwernantek, metrów sztuk, nauk i umiejętności, zapominając o tem, że dziecięcy organizm zamiast wszystkich owych cudactw, potrzebuje przedewszystkiem ruchu, swobody i odpowiedniego odżywiania. Nareszcie znajdą się i takie gospodynie, które tylko nudy uprawiać będą na szerokiej niwie swego gospodarstwa...... Nieskończylibyśmy czytelniku i przekroczyli szczupłe ramy tego artykułu, gdybyśmy chcieli narysować wszystkie owe zboczenia do jakich prowadzi w gospodarstwie domowem brak wszelkiej znajomości domu i jego zadań życiowych. Chcieliśmy tylko zwrócić uwagę na to, że gospodarstwo domowe unikając wszelkiej wyłączności, winno zwrócić uwagę na warunki przy których osiąga się odpowiednia równowaga wszystkich potrzeb jakie dom zaspakaja. Zamykanie go w ciasnym zakresie sztuki kucharskiej jest zupełnie niewłaściwem. Potrzeby dziś mnożą się, rozwijają, szlachetnieją a kuchnia nawet przy bardzo względnym dostatku, przestaje być jedynym celem domowych trosk i zabiegów. O potrzebach tych, pomówimy w artykule następującym.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

VI.

„Zważonyś na wadze, a znalezionyś lekki!“ Daniel V. 25.

Nazajutrz o piątej po południu pani Dobrosławska z całą swą rodziną pojechała do Zakretu. Wkrótce nadjechali goście, winszując serdecznie solenizantce. Starsi zasiedli ponad rzeką na trawie, pod drzewami, na ławkach jak kto mógł i gdzie mógł a dziatwa bawiła się swobodnie biegając po lesie. Cicho było oblicze wody; w jej lekkich niekiedy zmarszczkach, odbijały się sosny, stół z gośćmi i promienie słońca jak złotem lite pasy. Czasem się wietrzyk chwilowy prześliznął, zaszumiały drzewa, straciły kilka listków i znowu cicho. Nieopodal sterczy ruina pałacu, siedlisko chwastów, licznych napisów różnej wartości, nabazgranych węglem na złomach muru. Słaniało się zachodzące słońce po trupich licach ruiny, która nie wołała ani o łzę ani o wspomnienie, była tylko tak sobie dla zaokrąglenia obrazu.

Wśród toczącej się gawędki nadszedł gość nowy, a był nim p. Justyn Ostoja, człowiek już nie pierwszej młodości.

— Jakże się macie panie Justynie, rzekła doń na powitanie solenizantka, a dziękuję, dodała, serdecznie dziękuję żeście nie zapomnieli o mnie przecie.

— Czyżbym mógł zapomnieć? odrzekł przybyły. Toż w moim smutku, pod tym jedynie dachem znajduję ulgę i siłę do życia...

— A Bolesław?.. zapytał Zygmunt.

Ostoja nic na to nie odpowiedział, tylko otarł łzę grubą co spłynęła na policzki. Spostrzeżono to i grobowa dokoła zapanowała cisza.

Po herbacie i lekkiej przekąsce, goście z Zakretu wracali pieszo do domu. Panny szły wieńcem pobrawszy się za ręce, matki postępowały za niemi. Noc była piękna ale chłodna nieco, więc panie ponarzucały szaliki, mężczyzni pozapinali surduty i bawili się rozmową o różnych przedmiotach.

W otoczeniu np. podkomorzynej spierano się o Kefalińskiego przekład Szekspira, i jak zwykle, albo go przeceniano albo poniżano nad miarę. Ktoś złośliwy utrzymywał, że w przezwisku tłómacza, więcej jest erudycyi i dowcipu, jak we wszystkich jego utworach; ktoś inny przenosił jego talent nad Bohdana, wiedzę nad Woronicza, a zdanie swoje popierał ocenami Tyg. petersburskiego.

Nareszcie odezwała się podkomorzyna:

— Szekspira, rzekła, tylko Szekspir wytłómaczyć może, jak *Giaura* Mickiewicz. Przekład Kefalińskiego pomimo wszystko co zarzucić mu można, zaznajamia nas potrosze z wieszczem starej Anglii, prawie że nieznanym u nas; a wywołując rozliczne zdania, może zachęcić zdolniejszego kogoś ku szczęśliwszej pracy.

Rozmowę przerwał krzyk dziecka. Dziesięcioletni Józio, synek sędziego zawadziwszy o kamień, upadł; rozpłakał się i chciał się koniecznie spać na drodze położyć.

— Wstydź się Józiu, cóż to z ciebie za mężczyzna, przemówiła dziewięcioletnia Anusia Dobrosławska.

— Bo mi się spać chce, bo mnie noga boli, biadał wciąż płacząc Józio.

— Wstydź się, wstydź się Józiu; jakto chłopiec duży lekkiego bólu przenieść nie umiesz, a oto onegdaj mój brat Ignaś sparzył się rozpalonym lakiem, a jednak ani pisnął, chociaż zbladł ogromnie. Mama go też pocałowała, mówiąc: Dobrze mój synu, dobrze. Hartuj duszę i ciało, a miłym będziesz Bogu i ludziom.

— A mnie, gdy wczoraj ukłułem się w palec, mama ucałowała i przez dwa dni w łóżku leżeć kazała.

— O! to biedny ty będziesz na świecie, zawołały podrostki chórem.

Te słowa odezwały się w sercu matki idącej nieopodal—przelękła się o losy przyszłe jedynaka i przypomniała, że róże, któremi chce mu słać drogę, mają bolące kolce i odtąd zaszła zmiana w uczuciach jej dla Józia.

Coraz zmniejszało się wracające z Zakretu towarzystwo, a że ja z podkomorzyną miałyśmy największy do domu kawał, ze świtem dopiero stanęłyśmy u mety—i gdy pracowita ludowina wstawała do pracy, ja do snu kładłam się dopiero.

VII.

„Cóż to za wiwaty?
„Obchodzimy powrót rozumu.“
Fredro.

Wracając nazajutrz z kościoła, spotkałam furę żydowską, napchaną podróżnemi. Jakaś ładna twarzyczka, w modnym choć zużytym kapeluszu, patrzyła zeń przez lornetkę na przechodzących. Woźnica okrutnie biczował konie, buda turkocząc ciągnęła zwolna po bruku, a piękna twarzyczka istny koliberek pomiędzy wróblami, rozpatrująca się po mieście i ludziach, zaciekawiała mnie bardzo. Tegoż samego wieczoru, odwiedzając jednę ze znajomych, spotkałam z kopę lat niewidzianego pana regenta Ściepurę i jakoś z toku gawędy, wpadłam na ładną ową twarzyczkę zbłąkaną w żydowskiej budzie. Znał ją pan regent, a o jej przygodach tak nam opowiadał.

Kilka miesięcy temu przed zajazdem na jednej z główniejszych ulic naszego miasta, stała sześciokonna kareta, napiętrzona co się zowie podróżnemi pudłami.... W karecie siedziała młoda i przystojna kobieta, a gdym się jej bliżej przypatrzył, poznałem panią Herminiję dawniej mi już znajomą. Pani Herminija w daleką wybrała się drogę, a że i ja tym samym podążałem traktem, miałem sposobność zauważyć że bardzo jej było pilno, bo na każdej stacyi dopominała się o prędką przemianę koni i wypytywała ciekawie czy dawno pan Hercfresser przejeżdżał.

W jakiś czas potem pędziła kryta znów bryka tąż samą drogą. Siedział w niej czło-

wiek jeszcze młody, niskiego czoła, księżycowej twarzy i znowu na każdym przystanku przeglądał księgę przejezdnych, rozpytując jak dawno przejechała pani Herminija Motylicka w żółtej karecie. Widocznie gonili za sobą oboje.

Po czterech dniach podróży pani Herminija dobiła do portu i zajęła mieszkanie w jednym z najpierwszych hotelów wielkiego miasta. Mąż jej pan Leonard, przybył za nią o dzień jeden później. Biegał po mieście jak opętany, rozglądał się po szerokich ulicach, przypatrywał kobietom, ale żony, jak nie ma tak nie ma, przepadła jak kamień w wodę. Nazajutrz pan Leonard przybrał do pomocy starego sługę Marcina, i we dwójkę zaczęli poszukiwania.

Od świtu znów do zmroku latał Marcin po mieście, zapytując każdego kto się nawinął, czy nie widział jego pani. Śmiano się poczciwcowi w oczy, a on biedaczysko wydziwić się nie mógł, co to za jakiś dziwny naród w tem mieście szkaradnem...

Nareszcie idąc raz ulicą, spostrzega panię idącą z jakimś pięknym panem pod rękę. Już wyciągnął rękę, już go miał uchwycić za połę, gdy w tem jakiś przechodzień, myśląc że sięga do cudzej kieszeni, tak go silnie kijem przez ramię uderzył, iż Marcin krzyknął i opuścił ręce. Pani tymczasem zginęła mu z oczu i już jej więcej nie spotkał. Wrócił zapłakany do domu a zastawszy pana, odezwał się ze łzami:

— Jedźmy panie, jedźmy stąd co duchu, bo pani przepadła! Dziś już, już miałem ją w ręku, ale jak zły duch jaki znikła. Jedźmy panie, jedźmy coprędzej. Toć i len nie zebrany, toć i owies jeszcze na polu, a gryka nie skoszona. Pani jak się znudzi, to się sama znajdzie z pewnością.

— Bredzisz Marcinie, bredzisz! trzeba jeszcze czekać i szukać. Wyśmieją się z nas ludzie że wracamy sami.

— Niech pan powie że umarła.

— A jeśli powróci?

— To się ogłosi, że była w letargu i kwita!

— Ej pleciesz, pleciesz mój stary. Poświęcę jeszcze tydzień, szukajmy może znajdziemy.

Marcin poskrobał się w głowę i rzekł:

— A mówiłem kiedyś panu jako paniczowi, nie żeń się pan z panią Herminiją, bo jabłko od jabłoni nie daleko pada. A panicz mnie nie słuchał, bo piękna, bo bogata, bo familijantka. Masz teraz piękność, bogactwo, masz familiję! Goń za nią jak głupi po świecie i rzucaj gospodarkę.

— Masz może słuszność mój kochany, ale cóż już zrobić? Kocham ją nad wszystko na świecie.

— Tfu, do stu katów takie kochanie. — Wstydź się pan takiego kochania. Coby to mój Boże nieboszczka stara pani na to powiedziała...

To rzekłszy, wyszedł Marcin, mrucząc coś jeszcze pod nosem.

Po dwu tygodniowej daremnej bieganinie, powrócił wreszcie pan Leonard do domu.

Gdzież się podziała Herminija?

Pani Herminija porzuciła męża dla pewnego jegomości z powodu że ów jegomość trzymał francuza kucharza, szwajcara kamerdynera i kozaczka z bandurką. Pani Herminija zajmując wspaniały obecnie apartament, gdy przypomni sobie męża w szaraczkowym surducie, chodzącego około gospodarki w butach po kolana, od razu spazmów dostaje.

Po kilku atoli miesiącach adonis jej zaczął coraz mniej miewać czasu i zaledwie kiedy niekiedy odwiedzał ją na krótką chwilkę.

Nareszcie, przez całe dwa dni niepokazał się pan Elijasz. Zaniepokojona Herminija posłała doń służącą ze słodko-pieprznym bilecikiem, ale sługa nie trafiła i wróciła z niczem. Herminija postanowiła sama odnaleść niewdzięcznika, udała się więc z powiernicą i po długich zabiegach odnalazła zgubę.

W domu pana Elijasza płoną światła rzęsiste, Herminija więc uradowana wstępuje na wschody, otwiera drzwi do przedpokoju a jednego ze służby których tu pełno zapytuje: czy pan w domu.

— I pan w domu i pani w domu, odpowiadają jej na to.

— I pani?.. mimowoli prawie i ze zdziwieniem powtórzyła przybyła, a serce zabiło jej gwałtownie.

— A tak to coś mówią ludzie, proszę ja pani, szepnęła służąca do ucha.

W tej chwili, ktoś z gości wychodził z salonu i Herminija dostrzegła że najmilszy Elunio, gra sobie w najlepsze w karty z jakiemiś damami a jakaś młoda, ładna kobieta stoi przy nim oparta na jego ramieniu a chłopczyk kilkoletni ładnie ubrany, czepia się kolan jego...

Herminija nieprzytomna prawie ze wzruszenia, cofnęła się ku schodom. W domu rozpłakała się okropnie i nie wiedziała co począć. Całą noc nie spała. Nic nie pomogły ani drogie cacka ani modne stroje, ani cały urok wschodniego przepychu. Nie było co robić, pani Herminija napisała więc do swego komisarza, aby jej co tchu pięćset czerwonych nadesłał złotych.

Pan Hercfresser odtąd nie pokazał się już wcale. Herminija spotkać go gdzie choćby przypadkiem pragnęła ale i to jej się nie udawało. Raz widziała wprawdzie jak jechał w otwartym powozie, ale nie patrzył w tę stronę: chciała krzyknąć, pobiedz za nim, ale dzielne konie uniosły go jak wiatr daleko.

Od plenipotenta nie odebrała żadnej odpowiedzi: zatem napisała doń powtórnie, ale znowu napróżno....

Sprzedała najpierw brylanty jakie na wyprawę była otrzymała, następnie zastawiła srebro u lichwiarza; potem nowomodne cacka powędrowały do ludzi, potem poszły tą samą drogą meble i kosztowniejsze graciki a wszystko ma się rozumieć za dziesiątą zaledwie część wartości.

Znowu pani Herminija napisała do pełnomocnika, lecz znowu napróżno. Udała się do znajomych o pożyczenie pieniędzy, ale każdy grzecznie się wywinął i uciekał od awanturnicy.

— Pani! odzywała się nieraz Maryjanna, wracajmy do domu, trzeba zrzucić pychę z serca, przeprosimy pana i dobrze będzie...

Nie rada była powracać Herminija; mąż Bóg wie czy przebaczy a sąsiadki będą się zawsze uśmiechać z przekąsem.

Nocy jednej, Maryjanna zerwała się ze snu wzdychając ciężko.

— Co tobie jest, czy cię co boli, zapytała nagle zbudzona Herminija.

— Śniło mi się, odpowiedziała pytana, że pani wypadł ząb przedni, a to sen bardzo niedobry.

— Niechże mnie Bóg uchowa od takiego nieszczęścia, rzekła na to pani i z obawą już policzyła piękne ząbki, czy było ich trzydzieści dwa.

— Śniło mi się także że Frania zamiatała pokój dziecinny. Czy też tam nie dotknęło co niedobrego Teosi, bo teraz jak raz ząbki się jej muszą wyrzynać. A może odra, może szkarlatyna i pan tam głowę traci, a Szperkowska złośliwa baba, nie umie obchodzić się z dzieckiem. Uchowaj Boże! ale na przypadek śmierci, kto ubierze tam niebożątko? kto mu trumienkę kwiatkami usypie? kto obrazek w rączki założy? Ząb ze krwią i miotła, to sen nie obiecujący, on nam coś nie wesołego wywróży.

Herminija dotknięta przypuszczeniami temi nazajutrz poniosła na sprzedaż kolczyki, ostatni dar kochanka i najęwszy miejsce w dyliżansie, z Maryjanną i chudym węzełkiem puściła się w drogę, oglądając się na miasto i płacząc...

Ale już od pół drogi, musiała dla braku funduszu przenieść się do żydowskiej budy. Przyjechawszy napadła gwałtownie na pełnomocnika, ale ten przysięgał na wszystkie świętości, jako żadnego nie otrzymał listu, aby jednak powetować złe jakiego się mimowoli dopuścił, zobowiązał się z mężem panią pogodzić.

— No to ta kobieta może jeszcze powrócić na drogę cnoty, gdy w niej nie wygasło macierzyńskie uczucie, rzekła podkomorzyna...

— Daj Boże! aby im obojgu to przejście bolesne wyszło na dobre. On z mazgaja, aby się stał hartowniejszym więcej i mężczyzną, ona aby pojęła co to jest prawdziwa godność kobiety.

— Ale cóż dalej panie regencie?.. Ciekawa to awantura, ale jakże panią Herminiją przyjęto w świecie, wtrąciła pani prezesowa.

— Niezdarzyło mi się o tem nic słyszeć, ależ zgadnąć tego nie trudno.

Gdy pp. Leonardowie pieniędzy dość będą mieli, świat w którym żyją, po staremu kochać ich będzie, gdy...

— Pani Herminija musiała być źle wychowaną, musiano skąpić na jej edukacyę, wtrąciła pani marszałkowa, mająca guwernantkę świeżo z Paryża, za 200 dukatów rocznie wypisaną.

— Że nic nie skąpiono, to mogę sam poświadczyć, bo widziałem rachunki. Wychowanie pani Herminii kosztowało z górą 6,000 rubli, nie licząc w to utrzymania i opłaty bon przeróżnych; nie licząc licznych *wojażów* dla Herminci przedsiębranych w celu *dokończenia edukacyi.*

— Chyba nietrafny wybór być musiał?

— Trafność wyboru sprawdza się w życiu. Ojciec mój cały majątek stracił, chcąc zaprowadzić u siebie winnicę. Książę Poniatowski osiadłszy we Włoszech, sprowadzał nasze brzozy, nawet woził ich latorośle w ogromnych wazonach rodzinnej ziemi i polewał wodą, podług wszystkich praw chemicznych jak na-

sza preparowaną—i obaj wyszli, jak Zabłocki na mydle...

— Więc cóż począć?

— Widzi pani dobrodzika, wiele jest wybornych rzeczy za granicą, lecz trzeba wiedzieć co się daje aklimatyzować z pożytkiem. Oto np. pod względem oświecenia, skromności, rządności i pełnienia swych obowiązków, bierzmy na wzór kobiety angielskie.

— Więc pan jesteś za angielkami? Na drugi rok, postaram się o Angielkę, tem bardziej, że ten język w modę nawet wchodzi.

— Azaliż pani kupując angielski zegar, kupuje razem i majstra do nakręcania onego?

— Jakto?

— Mniej kosztu a więcej pożytku; zrozumieć zasadę angielskiego wychowania, a nie

— Prawda, tam ku temu posługuje wiele warunków, których wywód byłby tu za obszerny; te warunki składają się na to—bezpieczeństwo kobiety spoczywa tam pod wierną strażą obyczaju obywatelskiej cnoty samych mężczyzn i opinii publicznej. Tam donżuan, nie używa takiej jak u nas wziętości. Cała Anglija brzydzi się nim a najbiedniejsza kobieta za niego nie pójdzie. A przecież są tam ludzie tylko nie święci.

— Możnaż więc po angielsku wychowywać nasze dzieci?

— Nie można, bo Anglik swoich nie wychowuje po polsku, ale zato spożywa np. naszę pszenicę po swojemu przyrządzoną; to też i my możemy angielską zasadę po swojemu zastosować. Przecież każda panienka, że Angielka wszędzie niesie w sobie samej pojęcie własnej godności i ma zawsze w duszy wykształcone poczucie wstrętu ku złemu. Te puklerze strzegą ją od upadku. I można przyjąć za pewnik, że prawdziwie dobrze wychowana kobieta, bez moralnego w sobie kalectwa, upaść nie może. Dzięki Bogu i my już spostrzegamy się powoli: ludzie z poważniejszą jakąś myślą wybierają się w drogę życia. Wprawdzie, idzie to powoli, alež nie od razu Kraków zbudowano....

VIII.

„A krzyż ostatniem ich dostojeństwem.“

Nadszedł i dzień zaduszny, mglisty, posępny a pełen wspomnień bolesnych.



Zwaliska zamku Jagielonów w Miednikach.

Angielki sprowadzać. Anglik jest dzisiaj tym samym jakim był przed wiekami: lecz jak każdy prawdziwie postępowy człowiek, uwzględnia potrzeby dzisiejsze, nic nie tracąc z ducha swego. Każda rozumna społeczność inaczej iść nie może.

— Dobrze to, lecz jakże wychowują się Angielki?

— Angielskiej dorosłej dziewicy nikt nie pilnuje. Ona bawi się najswobodniej, jeździ sama na przechadzki i nie znajduje oporu w rodzicach w wyborze męża, byleby to był człowiek prawy, do czegokolwiek usposobiony, obyczajny i pracowity.

— Pięknieby wyszła panienka u nas tak postępując...

postrzegłszy jakiegoś mężczyznę, wnet zobaczy czy on brzydki, brunet czy blondyn, blady czy rumiany. Każda poczuje niedosmażone konfitury, poczuje wczorajszy dym cygara w wypachnionym dziś pokoju; każdy szczegół modnego ubioru dostrzeże jednym rzutem oka i t. p.

— Powinny uczyć się psychologii, przerwała stara panna literatka w okularach.

— Chyba na lekarstwo od bezsenności, rzekła z uśmiechem podkomorzyna.

— To chyba, tak wychowaną dziewczynę wywieść potem do Anglii?

— Przecież Angielki, nie wożąc z sobą całej Anglii, żyją na całym świecie, a o zdradzonej Angielce na stałym lądzie jak w samej Anglii trudno jakoś posłyszeć. A to dla tego,

Po kościołach pełno ludu modlącego się za zmarłych. Na każdej prawie powiece drży łza żałosna a gorejące świece, smętnym płomieniem błąkają się po kirach i zapłakanych twarzach. Każda prawie postać stanowi osobny obraz. Kobiety twarze zarzuciły czarną zasłonką, a po ciężkiem westchnieniu znać że się modlą gorąco, że się myślą przeniosły do świata umarłych. Oczy stare wybladłe, najmniej płaczą i tylko kiedy niekiedy spłynie łza po zmurszałych licach... Dosyć już się one napłakały w swem życiu....

Oczy młodzieńcze płaczą krótko a rzewnie. Świat ma tyle dla nich uroku, nie wierzą w śmierć własną; patrzą na wszystko przez promienie słońca, przez pączki kwiatów.

Mężczyzni oparci o kościelne filary, stoją w zadumaniu, a nie jeden ociera łzę ukradkiem... W ławce bliżej ołtarza siedziała podkomorzyna z całą swą rodziną. Oczy Johanny najwięcej są zapłakane, bo też ona sierotą. Joachim klęczący za filarem, widział jej łzy a były mu one drogie jak prawda; święte, jak myśl boża. Czy był wzajemnie kochany, niewiedział o tem. Domownicy tylko zauważyli że głos jej był zwykle tkliwszym gdy przemawiała do niego, że oko patrzyło czulej, skoro na nim spoczęło.

Po nabożeństwie opustoszał kościół, ludzie jak cienie wysuwali się zwolna, i wracali zamyśleni i rozstrojeni bolesnemi pamiątki.

Na cmentarzu, przy każdym grobie roją się gromadki ludzi, ale zmierzch zapada więc pustoszeje i cmentarz, mgła nocna zmienia miasto w olbrzymi słup dymu, po którym błąkają się drżące światełka.

Pomiędzy powracającymi łatwo zauważyć dwu mężczyzn szczelnie otulonych w płaszcze i wpatrujących się w siebie ciekawie. Niższy miał twarz obrzękłą, nacętkowaną czerwonemi plamkami; wyższy był chudy, sterany i żółty.

— Dobry-wieczór, panie Józefie, zaczepił niższy wyższego.

— Skądże to panie Ambroży, czy z mogiłek wracacie?

— Skądżeby bo dziś powracać?

— A czy wiesz, dzisiaj wieczorek u p. Karola?

— A toż mnie prosił wczoraj na niego, ale dzień zaduszny nie usposabia do zabawy.

— Dzisiaj i u Hołubowicza pustki być muszą, choć smacznem częstuje piwkiem.

— Lubię bo ja bardzo piwko; ależ dzisiaj, ani mnie do sztosika ani do piwka nie bierze ochota.

— Dobrej nocy, rzekł Ambroży wchodząc do bramy.

— Do widzenia! rzekł Józef i pociągnął dalej.

— Zapomniał o sztosiku, pomyślał sobie Ambroży.—Nie pociągnęło go nawet piwko, mówił sam do siebie Józef.

Podkomorzyna wróciwszy do domu, ze złą się spotkała nowiną. Zasłużona a chorowita jej sługa Wiktosia, zapadła nagle a tak niebezpiecznie, że po lekarza i po księdza posłano od razu; zanim przyjechał pierwszy stawił się już drugi. Był to człowiek młody wyświęcony zaledwie od roku. Poznałam w nim wdowca urzędnika, poznał i on mnie od razu i przywitał w milczeniu. Ale jakże zmienił się strasznie od czasu śmierci żony i dziecka!

— Jakże się macie księże Franciszku, rzekłam do niego.

— Dziękuję pani, przecierpiałem bardzo wiele, ale teraz uspokoiłem się już przecie. (d. c. n.)



Poranek w Tatrach.

ZJAWISKA ŚWIATŁA.

Różnice między ciałami w produkcyi światła.—Płomień świecy filozoficznej. — Barwy soli w wodorze.— Ciała fosforescencyjne.— Światło rodnikiem kolorów—Odbijanie się, załamywanie i rozpraszanie promieni słonecznych. — Rozkład światła na siedm promieni pierwotnych. — Zachowywanie się szkieł kolorowych w czasie przepływu przez nie światła.—Zapas światła w łonie ziemi złożony przed milionami wieków.— Tęcza. Halo.—Zjawiska światła w bańce mydlanej.—Polaryzacya i światło polaryzowane. Wpływy światła na życie.

Światło, ten ożywczy element przyrody, od najdawniejszych czasów był przedmiotem badań naturalistów, wszak że dopiero w XVII wieku Kartezyjusz, Newton i Huyghens, wykryli jego prawa i objaśnili zjawiska. W początkach bieżącego stulecia Young i Arago, Fresnel i Biot, rozwidnili ten dział wiedzy wielu spostrzeżeniami, i dziś rzec można, że ze wszech zjawisk fizycznych, odnoszące się do światła najlepiej poznane zostały.

Ciała podniesione do wysokiej temperatury, wydzielają ciepło i światło; ogrzewane przechodzą stopniowo od ciemnej czerwoności do wiśniowej, a ostatecznie białej, to jest od 500

stopni dochodzą do 2000. Nie wszystkie zresztą ciała wydają światło jednej siły w jednakowej temperaturze. I tak płomień wodoru wydzielony z tak zwanej świecy filozoficznej, jest bardzo blady pomimo wysokiej temperatury; umieszczając wszakże drut platynowy w tym płomieniu, tenże nabywa w jednej chwili niepospolitej żywości.

Nie wszystkie ciała, ogrzane do pewnego oznaczonego stopnia temperatury, wydają jednakowe światło. Jeżeli trochę soli kuchennej, która jest związkiem chloru z sodem, osadzimy na podobnym drucie platynowym i pomieścimy w płomieniu wodoru, to sól powyższa zafarbuje ten płomień prześlicznym żółtym kolorem Sole stroncyjanny w tychże samych warunkach, wydają pyszną barwę czerwoną. Z tych własności ciał skorzystano przy wytwarzaniu różnobarwnych ogni sztucznych.

Nie każde ciało do wyprodukowania światła potrzebuje wysokiej temperatury. Fosfor w zwykłym stopniu ciepła, w lecie czy w zimie, błyszczy światłem w ciemności. Co więcej, tenże fosfor pomieszczony w próżni, również rozlewa światło, co okazuje że ta jego własność nie pochodzi z powolnego łączenia się tego pierwiastku z tlenem powietrza. Ciała świecące jak fosfor w ciemności, nazywamy fosforescencyjnemi: cukier przy rozbijaniu go w ciemni wydaje małe iskierki z głuchym trzaskiem, kwas arszenikowy krystalizując w roztworze, przedstawia też samą własność. Światło podobnie jak dźwięk, poznajemy z wrażeń odbieranych przez nasze zmysły.

Dźwięk możemy badać za pomocą organu słuchowego, światło z pomocą organu wzrokowego, oko i ucho są w tej sprawie naszemi narzędziami analitycznemi. Fizyka nowoczesna wykazała identyczność ciepła ze światłem. Poprowadźmy myślą do słońca linije proste, od kilku przedmiotów na ziemi pozostających, i przypuśćmy że żadna chmura, żadna przeszkoda tych linij nie łamie; owóż przedmioty te będąc oświetlonemi, odróżnią się od innych kształtem, układem, objętością, barwą i wyglądem.

Każde ciało ziemskie w skutek oddziaływania nań światła, ulega na swej powierzchni zmianie, której wynikiem będzie barwa. Jest ona widocznie wypływem działania słońca, a ponieważ to działanie zachodzi na linijach prostych, przeprowadzonych od ciał do słońca, nazwano te linije *promieniami świetlnemi*. Przedmiot ziemski ze swej strony przyjmując te promienie świetlne czyli słoneczne, przesyła je odbite naszemu oku. Nazwano to w fizyce *odbiciem* czyli *refleksyją*. Obok tego światło posiada własność *załamywania się* i *rozpraszania*.

Cień pochodzi od ciał nieprzezroczystych, to jest ciał przez które nie mogą się przedrzeć promienie słoneczne. Ciała przezroczyste przepuszczają przez siebie promienie słoneczne z pewną zmianą.

W połowie XVII wieku, Newton, ówczesny profesor uniwersytetu w Cambridge, odbywając doświadczenie z widmem słonecznem, wskazał jego prawa. W okiennicy ciemnego pokoju wydrążył on otwór, przez który przepuścił wiązkę promieni słonecznych, odbitych horyzontalnie przez zwierciadło zewnątrz pokoju umieszczone. Następnie ta wiązka światła, spotykała pryzmat szklany, z jednym kątem zwróconym ku dołowi; owóż promienie słoneczne przesyłane przez pryzmat, zbaczały ku górze, roztaczając przepyszny wachlarz różnokolorowy. Zbierając te promienie na ekranie białym, Newton otrzymał następne barwy: fioletową, indygo, błękitną, zieloną, żółtą, pomarańczową i czerwoną.

Wnoszono stąd, że promienie słoneczne rozczepiają się na siedm kolorów oddzielnych, składających widmo. Promienie cieplikowe odróżniają się nieco od świetlnych. Szkło zwyczajne pochłania promienie ciemne, a przesyła promienie świetlne. Szkła kolorowe pochłaniają niektóre promienie świetlne a przesyłają inne. Szkło czerwone przyjmuje wszystkie promienie słoneczne, z wyłączeniem czerwonych.

Pod wpływem promieni słonecznych, zachodzą nieskończone transformacyje w tkankach roślinnych, utrzymujące się przez długie wieki. Węgiel kamienny, zagrzebany głęboko w warstwach ziemnych, zachował swą siłę cieplikową w ciągu niezliczonych upływów stuleci. W ubiegłych epokach geologicznych, rozległe lasy rozpierały się na ziemi, promienie słoneczne dostarczały roślinom węgla i wodoru, tych pierwiastków niezbędnych do wytworów ich tkanki. Następnie zmieniły się warunki bytu tego świata organicznego, rośliny te zalane zostały wodami a ze zniszczenia ich powstały bogate pokłady węgla kamiennego. Dziś spalając w naszych ogniskach, ten materyjał opałowy, użytkujemy z produktu wytworzonego przez słońce przed milijonami wieków.

Zjawiska światła wyjaśnione być mogą prawami odbijania się tegoż, załamywania i rozpraszania. Od tych to praw zależy kształt i stan powierzchni oświetlonych, oraz pochłonywanie przez ciała pewnych promieni świetlnych; na tych podstawach Newton tłómaczy zjawisko tęczy.

W czasie pogodnego dnia letniego, gdy słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, odwróćmy się plecyma do kuli słonecznej, a twarzą ku jakiejkolwiek kaskadzie wody. Cóż wówczas dostrzeżemy? Oto na około tego deszczu prześliczną tęczę różnokolorową. Owóż w tychże samych warunkach przejawia się tęcza w atmosferze. Gdy zwróceni jesteśmy plecami do słońca niewiele oddalonego od horyzontu, wspaniały łuk tęczowy zjawia się w tej okolicy nieba, w której niezliczone krople wody spadają z chmur w postaci deszczu. Cóż wtedy zachodzi? Aby na to odpowiedzieć, obserwujmy drogę pojedyńczego promienia słonecznego, pomieszczonego w punkcie najwyżej położonym na tęczy. Dosięgając sfery płynnej, przedziera się on i załamuje w jej głębi, następnie występuje od strony słońca i zmierza do oka obserwatora. Promień ten wszakże został rozłożonym w masie tych kropli wodnych, na siedm promieni kolorowych, które dążą, do oka obserwatora pod rozmaitemi kątami załamywania się. Pochyłość tych promieni wzrasta od czerwonego do fioletowego, w ten sposób, że gdy promień czerwony dosięga oka, inne przesyłane z tejże kropli wody, nie mogą jeszcze doń dopływać, wszakże kropla wodna niżej położona w tęczy, może przesłać oku promień fioletowy. Obserwator zatem, dostrzega w kierunku tych kropli punkt czerwony u góry, a fioletowy u dołu; krople pośrednie przesyłają oku podobnież promienie pojedyńcze, istniejące między barwą czerwoną a fioletową. W ten sposób otrzymujemy widmo słoneczne, którego barwy biorąc od dołu występują po sobie w następującym porządku: fioletowa, indygo, błękitna, zielona, żółta, pomarańczowa i czerwona.

Wyobraźmy sobie teraz powierzchnię stożkowatą, mającą za oś liniję prostą, przeprowadzoną od oka obserwatora do słońca i przechodzącą przez kroplę wodną. Każda kropla znajdująca się na tej powierzchni, wytworzy tenże sam skutek, całość więc złoży się w postaci łuku tęczowego. Obliczono, że kąt wytworzony ze stożka promieni czerwonych, wynosi 42, a promieni fioletowych 40 stopni. W ten sposób tęcza wykrywa nam istnienie małych pęcherzyków wody, spadających w postaci deszczu z atmosfery. Im większa jest rozległość owych pęcherzyków, tem tęcza jest wydatniejszą, piękniejszą. Pęcherzyki te winny być większe od tworzących chmury, gdyż inaczej oko nie potrafiłoby odróżniać w nich kolorów; z tego też względu mgły i chmury nigdy nie wytwarzają tęczy.

Innego rodzaju meteory świetlne, wykrywają nam istnienie w nich osobliwszych ciałek. Tak naprzykład dają się widzieć niekiedy, zwłaszcza w strefach biegunowych, koła tęczowe otaczające słońce. Aureola tych kół przedstawia barwę czerwoną wewnątrz, a fioletową zewnątrz i nazwaną została *Halo*. Fizycy wyjaśniają ten meteor, przyjmując, że atmosfera zawiera w sobie drobne igiełki lodu skrystalizowanego, przedstawiające kształt foremnych pryzmatów sześciobocznych.

Przejdźmy do innych zjawisk. Dmijmy w bańkę mydlaną, tworzącą się na końcu rurki opatrzonej kruczkiem w słoju szklannym, dla zabezpieczenia jej od ruchów powietrza i parowania, i zamknijmy kruczek aby kurczenie się płynnej obsłonki, nie wyciskało powietrza wewnątrz bańki zawartego. W ten sposób bańka mydlana może przez długi czas zachowywać swe istnienie.

Jeżeli bańka nie jest zbyt wielką, dostrzegamy na jej wierzchołku, około krawędzi rurki ją utrzymującej, pierścienie tęczowe współśrodkowe. W pierścieniach tych, barwa czerwona przejawia się w pośrodku, pierwszy z nich jest nierównie świetniejszym od po nim następujących, przedstawiających się w postaci linij okrągłych, sobie przyległych. Obsłonka tych pierścieni jest czerwonofioletową, przechodzącą dalej w odcień zielony. Odbijanie się barw od obsłonki, wytwarza za pierwszym rzutem oka ich pomotanie się; wszakże oko po uważniejszem rozpatrzeniu się, odróżnia w nich pasy kolorowe naprzemian po sobie następujące. Powiększając objętość bańki mydlanej, dostrzegamy że pierścienie od jej wierzchołka rozszerzają się i tworzą nowe ogniwa, mniej jednak świetne. Pasy górne przedstawiające się oku w skutek odbicia, są naprzemian zielone, błękitne, fioletowe, czerwone i pomarańczowe; odcienia ich przejawiają żywszą barwę, im więcej zbliżają się do

wierzchołka bańki mydlanej. Kolory te mienią się różnorodnie, grubość obsłonki zmniejszając się w skutek wydymania bańki mydlanej, zmienia najwidoczniej porządek i siłę jej kolorów tęczowych. Gra barw najwyraźniej zależy w tem zjawisku od grubości obsłonki bańki mydlanej.

Ta gra światła wykrywa nam budowę ciał skrystalizowanych; bryła lodu pod wpływem światła, wytwarza ciekawe zjawiska optyczne.

Zwróćmy wiązkę promieni słonecznych, padających pod kątem 35 stopni na tafelkę szklaną po drugiej stronie uczernioną, i jak zwierciadło odbijającą promienie, które z kolei odbijać się będą na drugiej takiejże tafelce szklanej. Jeżeli następnie obracać będziemy górne zwierciadło około osi, przedstawiającej kierunek promieni odbitych, to jakkolwiek kąty jakie one tworzyć będą z płaszczyzną zwierciadła, pozostaną niezmienione, wszakże dwa zwierciadła nie będą już do siebie równoległe, i ich płaszczyzny odbicia nie przedstawią jednej płaszczyzny. Gdy od początku obrotu, śledzić zaczniemy jakikolwiek promień odbity, spostrzeżemy, że jasność jego stopniowo będzie się zmniejszać. A nawet promień zupełnie zniknie, gdy zwierciadło górne zostanie obróconem o 90 stopni, to jest gdy płaszczyzny odbicia obu zwierciadeł, będą do siebie prostopadłe. Jeżeli następnie obracać będziemy dalej zwierciadło w tymże kierunku, promień odbity znów się nam przedstawi, odzyska zaś zupełną swą jasność, gdy obrót wynosić będzie 180 stopni, w którym to przypadku, płaszczyzny odbicia zwierciadeł znowu są równoległemi. W dalszym obrocie zjawisko opisane powtarza się w tenże sam sposób, gdyż przy skręceniu wynoszącem 270 stopni, płaszczyzny odbicia znów się krzyżują, i promień w mowie będący znika. Po ukończonym obrocie, stosunek pierwotny wraca.

Przez odbicie więc od pierwszego zwierciadła, światło doznało zmiany; nie odbija się już ono od drugiego zwierciadła, podobnie jak promienie pierwotne w każdem tegoż zwierciadła położeniu. Zmiana ta nazywa się *polaryzacyją*, a światło w ten sposób zmienione *polaryzowanem*.

Wypada nam dodać, że ani zwierciadła metalowe ani zwyczajne, nie polaryzują światła. Natomiast doznaje ono polaryzacyi przez załamanie, jakiemu ulega w przepływie przez pewne kryształy. Do doświadczeń w tej mierze służą przedziwnie tafelki minerału zwanego *turmalinem*.

Prawa polaryzacyi promieni świetlnych wykryte przez Malusa, Araga, Fresnela, Brewstera i Biota, stosują się również do promieni cieplikowych, jak to wykazały niedawno doświadczenia Desaine'a. Objaśniają nam one zjawiska promieniowania.

Powiedzieliśmy wyżej, że działalność światła lub ciepła na jakiekolwiek ciało, zachodzi na linijach prostych łączących też ciała ze źródłem promieni świetlnych i cieplikowych, to jest ze słońcem, i że rezultatem tego działania jest ruch molekularny. Gdy działalność ta przejawia się w promieniu polaryzowanym, ruchy te odbywają się w sposób oznaczony. Jeżeli naprzykład wyobrazimy jakie wibracyje prostolinijne, polaryzacyja przedstawia się w równoległości tych wibracyj; przeciwnie jeżeli promień nie jest polaryzowany, ruchy molekularne nie zachodzą we wszelkich kierunkach.

Wpływy światła na życie są bezwątpienia najwyrazistsze. Roślina bez ożywczych jego promieni zamiera—zwierzę więzione w ciemności słabnie, organizm jego ulega stopniowo wyniszczeniu. Człowiek w braku światła utraca siły fizyczne, wzrok jego przywykły do ciemności, nie jest już w stanie przyjmować promieni słonecznych. Ludzie przez długi czas więzieni w lochach i nagle z nich wyprowadzani, doznawali porażenia organu wzrokowego. Twarz ich przedstawiała bladość matową a cały organizm przejawiał cierpienie, wywołane pozbawieniem ich światła słonecznego. Bez światła i ciepła nie może się począć życie, ani się rozwijać. Kiełek rośliny i zalążek zwierzęcy, potrzebuje tych czynników, które rozpleniły wszelki rozkwit organizmów w przyrodzie. Gdy słońce przestanie przesyłać naszej ziemi promieniste swe blaski, gdy ciemności ją otoczą, życie na niej zagaśnie — nastąpi noc wieczysta, grobowa dla mieszkańców naszej planety. Nie trwóżmy się jednak przedwcześnie, nim to nastąpi upłyną jeszcze nie setki, nie tysiące lat, lecz milijonowe upływy stuleci.

W. Niewiadomski.

ZARYSY
Gubernij północno i połudn.-zachodnich,

skreślił

JAN ZE ŚLIWINA.

(Ciąg dalszy,—patrz Nr 44).

XIV.
Inflanty.

Dynaburg albo *Dyneburg*, (*Dynembork*, *Dünaburg*), na prawym brzegu Dźwiny zachodniej, miasto powiatowe, a zarazem pierwszorzędna forteca.

Do dziś dnia, o półtrzeciej mili od miasta, na wysokiej górze są ślady starego zamku, od którego miejsce to i teraz tak się nazywa. Zamek otaczały dwa głębokie parowy; za jednym, od zachodu, leżała osada miejska, za drugim, od wschodu kościół i cmentarz. Parowami sączyły się strumienie wpadające do Dźwiny. Zamek z czerwonej cegły w kształcie prostokąta zbudowany, mający 18 metrów szerokości i około 60 długości z sześciu wieżami w pięknym gotyckim stylu wzniesionemi. Na pochyłości góry od ściany zamkowej do rzeki, wznosiła się dolna warownia. W tem tedy miejscu była pierwsza fundacyja twierdzy Dynaburga, wzniesionej przez Rycerzy mieczowych inflanckich w r. 1278, dla osłonięcia granic swojego kraju od napadów Litwy. Pierwszy z książąt litewskich Trojden syn Romunda oblegał ten zamek, wszakże bez skutku. Dopiero w 1315 Litwa do szczętu go zburzyła, ale wkrótce rycerze odbudowali na nowo twierdzę. Napady litewskie powtarzały się co lat kilka ze zmiennem szczęściem, aż w końcu w r. 1559, gdy mistrz zakonu, Gotard Kettler zrzekł się swych posiadłości w Wilnie na rzecz Zygmunta Augusta, Dynaburg stał się własnością Litwy. Car Iwan Wasilewicz w r. 1577 zdobył zamek, w następnym jednak roku odzyskał go napowrót Wilhelm Plater.

Pierwsze założenie dzisiejszej twierdzy nastąpiło z rozkazu Stefana Batorego w r. 1582. Wtedy i miasto tu przeniesiono.

Dynaburg był stolicą województwa inflanckiego od roku 1660, oraz miastem składowem na zboża i różne towary prowadzone Dźwiną do Rygi.

Wiele bitw stoczyło się pod Dynaburgiem i w latach następnych, z Karolem księciem Sudermanii, ze Szwedami, a w obronie najdzielniej odznaczali się zawsze Platerowie.

Obecnie Dynaburg dzieli się na cztery części: 1° fortecę zajmującą znaczną przestrzeń w dolinie na prawym brzegu Dźwiny, z licznemi fortyfikacyjami i silnem uzbrojeniem. Warownia ta znacznie uszkodzona przez generała Ricorda w r. 1812, od tego czasu ciągle się zabudowywała i umacniała, a dziś połączona siecią kolei żelaznych z Petersburgiem, Wilnem, Rygą i Witebskiem, jest nader ważnym punktem strategicznym, obronę rzeki i całego kraju zabezpieczającym; 2° przedmieście, o 1 wiorstę od fortecy położone i nazywane *nowym forsztatem*; 3° drugie przedmieście, zwane *starym forsztatem*, o pół wiorsty od fortecy, nad jeziorem *Szczuna*; i 4° miasteczko, właściwie przedmieście *Grywki*.

W Dynaburgu byli Jezuici fundowani przez Gąsiewskiego wojewodę Smoleńskiego w roku 1629. Obecnie są tu trzy cerkwie prawosławne, kościół katolicki, molelnia, to jest dom modlitwy starowierców i kościół protestancki. Jest tu gimnazyjum, szkoła powiatowa i kilka parafijalnych. Dynaburg, właściwie samo miasto, kilka razy był niszczony przez pożary. Dziś wszakże liczą tu przeszło 1,200 domów, sklepów i magazynów przeszło 400. Mieszkańców w roku 1864 liczono 33,124, a podług najnowszych wiadomości 29,613. Port dynaburski nader jest ważny. Roczny obrót wynosi około milijona rubli. W czerwcu i na Boże Narodzenie bywają tu jarmarki, które trwają po dwa tygodnie. Obroty ich wynoszą do 330 tysięcy rubli.

Krasław, albo *Kresławl*, nad Dźwiną, przy ujściu do niej *Kresławki*, własność Platerów. Jest to starodawna osada. W XVI wieku tu mieli być dognani i uwięzieni dwaj synowie Andrzeja Suzdalskiego, gdy zdołali uciec z więzienia, do którego ich wtrącił Iwan Groźny. Jezuici mieli tu swoję misyją od roku 1680, założoną przez Jerzego Wolfa Jezuitę. Krasław należał do Zamojskich, od których przeszedł do Platerów około roku 1730. Z tych Konstanty Ludwik, wojewoda mścisławski od roku 1752 zaczął się troszczyć o nadanie pewnej świetności tej osadzie. Jakoż wzniósł tu piękny ratusz z kramami, wiele domów murowanych, w których osadził sprowadzonych z Niemiec i Warszawy rzemieślników, wzniósł wspaniałą świątynię, która miała być kościołem katedralnym, ponieważ już otrzymaną została bulla papieżka na utworzenie inflanckiej dyjecezyi, której biskup miał tu zamieszkać właśnie w Krasławiu. Dwupiętrowy gmach mieścił 2,000 dział. Troskliwość dziedzica była tak

wielka, że wymurował nawet synagogę dla żydów. Wypadki krajowe nie pozwoliły urzeczywistnić powziętej myśli założenia nowej dyecezyi, seminaryjum jednak fundowane w r. 1757 pod kierunkiem Missyjonarzy istniało tu aż do r. 1842, w którym przeniesionem zostało do Mohylewa. Missyjonarze nadto czas jakiś od roku 1822 utrzymywali tu szkołę powiatową, następnie zamienioną na cywilną i umieszczoną w gmachu biblijoteki. Gdy już Krasław był zabudowany i zaopatrzony we wszystko hojnością dziedzica, wtedy dopiero Plater pomyślał i o sobie, wznosząc wspaniały pałac na panującej nad okolicą górze nad Dźwiną. Wdowa po Platerze w r. 1789 założyła szpital dla mieszkańców pod dozorem Siostr Miłosierdzia. W przeszłym stuleciu sprowadzeni rzemieślnicy wyrabiali tu kobierce, aksamity, adamaszki, perkale, sukna, karty polskie, złoto malarskie, broń różną, powozy, wyroby złotnicze i jubilerskie. Przedmioty te sprzedawano do Polski i do Rossyi na czterech jarmarkach, które co kwartał odbywały się w Krasławiu. Fabryki i rzemiosła upadły. Wszakże i dziś jeszcze mieszkańcy prowadzą dość znaczny handel z Rygą lnem i siemieniem lnianem. Obecnie mieszkańców liczą 4,500, domów około 500, są tu dwie cerkwie prawosławne, 2 kościoły, 1 dom modlitwy dla starowierców.

Krzyżborg, albo *Kreuzburg*, przy ujściu *Ewikszty* do Dźwiny, dziedzictwo baronów Korfów. Starożytny zamek fundacyi jeszcze Rycerzy w roku 1229. Niejednokrotnie był oblegany i zdobywany. W czasie wojny szwedzkiej Lew Sapieha z Aleksandrem Gąsiewskim w r. 1626 stoczył walną bitwę ze szwedzkim dowódcą Hornem. Sam król Gustaw Adolf obecny był bitwie i pod nim konia ubito, a Polacy odnieśli zupełne zwycięztwo. Są domniemania, że w XII wieku miejsce to nazywało się *Herenk* i było stolicą udzielnych książąt.

Liksna, przy ujściu Liksnienki do Dźwiny. I do dziś dnia istnieje wspaniały pałac i kościół założone przez Józefata Zyberga wojewodę inflanckiego w r. 1770. Liksna pamiętna zwycięztwem jakie tu odniósł Aleksander Gąsiewski nad wspomnianym wyżej Hornem w roku 1626.

Liwenhof, miasteczko z kościołem pod wezwaniem Ś-go Michała archanioła, słynnego cudami. Tysiące nabożnych zbierają się tu corocznie w dzień Ś-go Michała.

Lucyn, miasto powiatowe, na brzegu dwóch znacznej wielkości jezior, zwanych *Wielkie* i *Małe Łuże*. Ocalały jeszcze ruiny niegdyś wspaniałego zamku na wysokiej górze. Poczerniałe jego ściany odbijają się w kryształowych wodach jeziora. Zamek miał dwie bramy wjazdowe i trzecią od strony jeziora. Głęboka fosa otaczała go z trzech stron. Zamek ten wzniesiony w r. 1285 przez rycerza Konrada von Torberga i nazwany *Ludsen*. I tu niejednokrotnie staczano bitwy z Rusią i Litwą. Lucyn należał do województwa Rzeżyckiego, a potem był głównem miastem traktu i starostwa Lucyńskiego, jednego z najpiękniejszych w Inflantach. W r. 1802 został miastem powiatowem. Ludność jego wynosiła wtedy zaledwo około 300 głów. Później, gdy jeszcze nie było bitego gościńca i kolei żelaznej, był dość znacznym punktem handlowym i liczył 5,000 mieszkańców, a dziś liczą ich 3,759. Jest tu cerkiew i kościół, oraz dwie kaplice, nadto kościół protestancki. Domów liczą 540, z tych zaledwo kilka murowanych, 50 kramów. Miasto ma w posiadaniu 826 dziesięcin ziemi 2 lutego i 15 sierpnia bywają tu jarmarki.

Rzeżyca, przez Krzyżaków zwana *Rositten*, nad rzeką tegoż imienia, która łączy dwa wielkie jeziora *ruszońskie* z *lubańskiem*. Wspaniały i bardzo warowny zamek wznieśli tu Krzyżacy w roku 1285. W zamku była kaplica. Po poddaniu się Inflant Litwie, utworzonem zostało starostwo Rzeżyckie, jedno z najbogatszych, zawierające dużo wsi, 58 jezior i kilkomilowe lasy, przed laty niewielu jeszcze pełne zwierza: łosi, niedźwiedzi, wilków, rysiów, kun i bobrów. Są tu dwie cerkwie, 1 kościół,



Pomnik króla Jana III Sobieskiego w parku Łazienkowskim w Warszawie.

z górą 600 domów, 120 magazynów. Mieszkańców w roku 1864 liczono 5,864 (podług Encykl. Powsz. (1866) tylko 1,314!), a dziś liczą 8,951. Z gmachów odznacza się dom pocztowy w stylu gotyckim, i bardzo piękny dworzec kolei we włoskim stylu. Z innych miejscowości godne są wspomnienia:

Aglona, na prawym brzegu Dźwiny, o 4 milę od Dynaburga. Był tu kościół i klasztor Dominikanów. W kościele jest obraz Najświętszej Panny, najzupełniej taki sam jak w Trokach, u fary. Wiadomo, że ten ostatni ofiarowany został w. ks. Witoldowi przez cesarza Manuela. Za Jana Kazimierza, w czasie wojen, obraz trocki czas jakiś był w obozie. Zostawiono go później w Aglonie, a już po wojnie odesłano do Trok. Otóż kwestyja: czy Dominikanie aglońscy odesłali do Trok pierwowzór, czy też kopiję, zostawiwszy u siebie oryginał? Dużo o tem pisano jeszcze w przeszłym stuleciu, ale prawdy nie wykryto. Jak trocki tak agloński obraz słynęły cudami. W kościele aglońskim przed niewielu laty oglądaliśmy bogatą srebrną lampę przed wielkim ołtarzem zawieszoną. Był to dar nieznanego dobroczyńcy, który ją nadesłał z Petersburga wraz z sowitą jałmużną dla klasztoru. W liście zaś wyraził, że jest tym samym Jankiem, który przed pięćdziesięciu kilku laty jako pauper jadł chleb klasztorny, uczył się, służył do mszy i usługiwał. Uciekł do Petersburga, pracował całe życie i Bóg mu błogosławił, jest bowiem radcą tajnym, ma fundusz i rodzinę zacną, a to wszystko dla tego, że przez całe życie modlił się do Najświętszej Panny aglońskiej. Przy tej przesyłce załączył nadto kilkaset rubli dla wręczenia temu, kto jeszcze zostawał przy życiu i pamiętał owego Janka swawolnika. Znalazł się właśnie taki, który pamiętał Janka, był to ogrodnik klasztorny, starzec zgrzybiały, który też same pieniądze podobno klasztorowi zapisał.

Dagda, z wielkim kościołem fundacyi Hilzenów.

Prele, dziedzictwo Borchów z pięknym pałacem.

Warklany, także Borchów, z których Michał Borch wojewoda bełzki w pałacu tutejszym umieścił bogatą biblijotekę i wiele innych szacownych zbiorów naukowych.

Marienhauz (Margenhaus), nad rzeczką *Kiwa*. Był tu zamek rycerzy Mieczowych, później starostwo.

Dwie góry obwarowane, *Wolkenberg* i *Lauder*, nad jeziorami *Rażno* i *Lauder*, zawierają jeszcze ślady zamków krzyżackich.

Okolica bogata pod względem zabytków z epok pierwotnych, wyrobów kamiennych i szczególnie bronzów. W archeologii słynne są brązy inflanckie. Natrafiają często na prześliczne wyroby fenickie i rzymskie, chociaż to nie zbija bynajmniej przypuszczenia, że i własny bronz wyrabiać mogli. Muzeum wileńskie, ermitaż petersburski i gabinet archeologiczny Jagieloński posiadają piękne okazy bronzów inflanckich. (d. c. n.)

BOŚNIA I HERCOGOWINA.

Ludność słowiańska Bośnii i Hercogowiny jęcząca pod jarzmem tureckiem, przywiedziona do rozpaczy strasznemi gwałtami i nadużyciami zarządców, chwyciła jak wiadomo za broń i postanowiła bądź wyginąć do szczętu w krwawych zapasach, bądź za przykładem Greków i swych pobratymców Serbów i Czarnogórców, wydobyć się z pod ucisku wyznawców proroka.

W obecnej chwili wre tam bój zacięty a bój to drobnej lecz mężnej garści rajasów pod wodzą dzielnego Lubobraticza z przemagającemi siłami Serwera baszy. Nieczuła na niedolę nieszczęśliwego ludu Europa, uradziwszy zachowanie ścisłej neutralności, wysłała jednak na pole walki konsulów swych, aby ci oznajmiwszy powstańcom że na żadną pomoc zbrojną liczyć nie powinni, wpływali jednak na najjaśniejszą portę izby raczyła najmiłościwiej

zaprowadzić w krajach powstałych, odpowiednie reformy administracyjne.

Rezultatem tych dyplomatycznych zabiegów, jest z jednej strony ogłoszenie przez sułtana tak zwanego „irade,“ zapowiadającego zmniejszenie podatków niemiłosiernie wyzyskiwanych, kontrolę nad ich poborcami, wprowadzenie języka narodowego jako urzędowego, przebaczenie tym którzy broń złożą, i zapewnienie opieki dla tych co ratując zagrożone życie na obce schronili się ziemie, a z drugiej haniebne wymordowanie tych wszystkich, którzy w naiwności swojej odważyli się uwierzyć w te zapewnienia....

Czy pozostawione samo sobie powstanie, skończy się klęską czy zwycięztwem powstałych, czas pokaże. Że jednak uwaga wszystkich zwróconą jest obecnie w te strony, rozpatrzmy się w położeniu tych dwu kraików, cierpiących we wspólnej niewoli, ale różniących się położeniem, klimatem i płodami.

Bośnija na 1060 mil kwadratowych i liczy 1,100,000 mieszkańców, obszerniejsza więc jest i ludniejsza od Hercogowiny, która z jej części utworzoną została, nierównie też więcej jest górzysta. Niby Szwajcaryją otacza ją łańcuch Alp, ciągnący się równolegle z północy i południa ku wschodowi. Góry te zwane tu „planiny“ tworzą obszerne doliny przerznięte rzekami, z których największa Sawa oddziela Turcyją od Austryi, a zabierając Unę, Werbus, Bosnę i Drinę wpada do Dunaju.

Obfitując w lasy na górach i wody, Bośnija pod względem klimatu zbliża się do Niemiec południowych, gdy Hercogowina, mająca 290,000 mieszkańców na kilkuset milach kwadratowych, ma charakter kraju więcej południowego. W Bośnii uprawiają zboże a z owoców najwięcej tu śliwek, w Hercogowinie trudnią się przeważnie hodowaniem trzód i bydła, zbierają: ryż, tytoń, figi, oliwki i t. p. Na górach Bośnii rosną dęby i buki, dostarczające wybornego materyjału na budowę, więc też domy wszystkie tu prawie drewniane; na skalistych wyżynach Hercogowiny znajdujemy myrty, wawrzyny i t. d., domy są murowane. Główne zajęcie mieszkańców tutejszych stanowi hodowla owiec, kóz i świń; konie mają małe lecz bardzo wytrwałe, krowy dostarczają im mleka a sery które wyrabiają są głównym artykułem pożywienia. We wnętrzu ziemi znajdują się drogie metale, chociaż stosunkowo niewiele ich wydobywają. Szczególniej ofitują w nie okolice Serajewa; kopią tu: złoto, srebro, cynk i żelazo, pod Kressowem znów: miedź, ołów, żelazo i arszenik. Z pomiędzy ludności Bośnii 700,000 przypada na Słowian a 400,000 na Turków. Krajowcy dobrego wzrostu, dorodni, rysów pięknych i wyrazistych, wyznają religiję katolicką lub grecką; wyznawców grecko-wschodniego obrządku liczą 450,000, katolików tylko 140,000, nadto mahometan około 290,000.

Zarówno większe jak i mniejsze posiadłości znajdują się w ręku wyznawców islamu, szlachta bowiem lubo pochodzenia słowiańskiego sturczyła się; mówi po turecku i wyznaje zasady proroka, zowią ich bejami, a lud ich nazywa „poturczeńcami.“

Oświata na nizkim stoi stopniu, zwłaszcza między ludem, po szkółkach uczą się co najwyżej czytać i pisać, czytających zaledwo jednego na stu można znaleść, a umiejący pisać należą do wyjątków. Przemysłu prawie nie ma, handel zaś głównie opiera się na dowozie surowych produktów do Sawy.

Bośnija dzieli się na 6 obwodów (sandżak), to jest: Serajewo, Trawnik, Banialuka, Bihacz, Zwornik i Nowy-Bazar. Sandżaki zaś te dzielą się na 56 okręgów.

Głównem miastem Bośnii jest *Serajewo* czyli Bosna-Seraj, liczące 50,000 mieszkańców, w Hercogowinie zaś *Mostar*, niedaleko zaś od niego forteczka *Trebinija*, którą usiłują owładnąć powstańcy.

Jeden z korespondentów dziennika *Daily News* tak opisuje Trebiniję.

„Mała to i brudna mieścina, otoczona murem, który nie byłby w stanie wytrzymać lekkiego nawet bombardowania. Ulice wązkie, ciasne i brudne. Wody nie brak bo leży nad Narentą, wpadająca do Adryjatyku i niewysychającą w największe nawet upały. Ludność przeważnie muzułmańska, chociaż mówi po serbsku i należy do plemienia słowiańskiego. Wojska tureckie tak garnizonowe jakoteż przybyłe z Klecka obozują za miastem, gdyż wewnątrz by się nie pomieściły. Żaden turek nie ośmieli się puścić dwie mile po za miasto, gdyż do koła snują się powstańcy i z za pierwszej lepszej skały może go przywitać kula z gwintówki hercogowińca.

Właściwa historyja Bośnii i Hercogowiny rozpoczyna się od czasu gdy wyszły ze składu wielkiego państwa serbskiego. Po śmierci Duszana Silnego w r. 1376 jeden z banów bośniackich opanował Bośniją i ogłosił się jej królem pod imieniem Turtka I-go. W skutek bezpotomnej jego śmierci powstały walki stronnicze między jego bratem stryjecznym i synem naturalnym Dobiszą, który utrzymał się na tronie dzięki poparciu Węgier. Atoli i po jego śmierci wszczęły się rozterki między własticlinami. Na tronie utrzymał się Turtko II. Za niego to Stefan Kosacz wystąpił jako obrońca katolików, przeciwko wyznawcom kościoła wschodniego których król popierał; oderwał część zwaną Chlum i wyjednał u Fryderyka III. cesarza niemieckiego niezawisłość dla tej krainy, która zwać się poczęła księztwem św. Sawy, z niemieckiego Herzogthum, po słowiańsku Hercogowina, Turcy ją przezwali Herseg. Nastąpiło to w 1444 r. pamiętnym klęską i zgonem Władysława Jagiellończyka w bitwie pod Warną.

Król Tomasz pragnąc odzyskać Chlum ochrzcił się i został katolikiem; wtedy Kosacz stanął jako obrońca wyznawców kościoła wschodniego. Do politycznych więc niesnasek wmięszały się i religijne, a tymczasem Turcy grozili zewsząd coraz więcej.

Ostatnim królem Bośnii był Stefan Tomaszewicz. Zamierzył on wystąpić przeciwko Turkom na Kossowe pole, lecz Kosacz współdziałania odmówił. Zaufany w przyobiecaną mu przez papieża pomoc Węgier i Wenecyi rozpoczął Stefan sam bój z Turkami, ale Kosacz ułatwił tym ostatnim zwycięztwo, stając niegodnie po ich stronie; król Stefan pokonany i ujęty zginął pod Bilajem w 1463 r.

Hercogowina tylko lat 20 przetrzymała upadek Bośnii; ostatecznie oba kraje dostały się w moc turecką po bitwie pod Mohaczem w 1526 r., gdzie poległ stryjeczny wnuk Władysława Warneńczyka. Jedyną nadzieją do wyzwolenia się z pod jarzma tureckiego pozostały Węgry i Polska. Na Bośniją i Hercogowinę zaszła długa noc panowania tureckiego. Panowanie Turków, jak się wyraża T. T. Jeż, przyszło jak nagłe a gwałtowne zatrzymanie tego wszystkiego, co się życiem zowie, pozostawiając jedynie wegietacyją, dzięki której luzowały się kolejno pokolenia niewolników, stanowiących trzodę ludzką (*rajach* trzoda po turecku, stąd *rajasy*) pod pasterstwem wezyra, kajmakanów, kadych i bejów. Funkcyje bejów wzięła na siebie szlachta, własticlinowie. Za przykładem królewicza Marka, walczącego na Kossowem polu w szeregach tureckich, całe własticlinstwa, serbskie, bośniackie i hercogowińskie sturczyły się.

Opanowawszy kraj i organizując go po swojemu, nie zdołali jednak Turcy przerobić surowego materyjału to jest ludu i doczekał się też on wielkiego osłabienia ottomańskiej potęgi, skutkiem czego wyswobodziła się Grecyja, Rumunija, Serbija i Czarnogórze.

Jak wspomnieliśmy powyżej, ludność Bośnii i Hercogowiny dzieli się na dwa kościoły: katolicki i wschodni, a do składu tej ludności wchodzą potomkowie dawnych własticlinów: bejowie poturczeńce, wyznania mahometańskiego, ale Serbowie, Bośniacy ze krwi, języka i zwyczajów.

Są oni przeciwnikami rajasów, gdyż mniemają że władza nad nimi do nich należy, a przewaga ta na ucisku ciemnych rajasów polega. Jakkolwiek niezadowoleni z rządu, pragnęliby jednak utrzymać się na swem stanowisku.

Potężne mocarstwa odmawiając czynnego swego dla powstańców poparcia, wpłynęły i na to jeszcze, aby pokrewne im i sąsiednie Serbija i Czarnogóra neutralnie się zachowały; Europa bowiem nie chce wywołać rozwiązania tak zwanej „kwestyi wschodniej,“ będącej kwestyją śmierci dla mocno „chorego człowieka“ jak zwykle Turcyją określają.

H. W.

FANTAZYJA D^{ra} OX

przez

Julijusza Verne.

(ciąg dalszy).

III.

W którym komisarz Passauf wchodzi z hałasem i niespodzianie.

W chwili gdy pan burmistrz rozpoczął z panem radnym ową interesującą rozmowę, którąśmy przytoczyli powyżej, była godzina trzy kwadranse na trzecią. O trzy kwadranse na czwartą van Tricasse zapalił fajkę w którą wchodziło całe ćwierć funta tytoniu, czynność tę więc ukończył zaledwo o trzydzieści pięć minut na szóstą.

Około szóstej, radny lubiący używać figur retorycznych, odezwał się w ten sposób:

— Tak więc tedy zdecydujmy...

— Nie mamy nic do zdecydowania, odpowiedział na to burmistrz.

— Według mego widzenia rzeczy, pan masz racyją panie van Tricasse.

— Zupełnie tak samo myślę p. Niklausse kochany. Rzecz co do urzędu komisarza cywilnego, rozstrzygniemy później nieco; mamy jeszcze na to czas...

— Oj, oj, mamy na to lat kilka jeszcze, odpowiedział Niklausse, wydobywając i rozkładając pompatycznie kraciastą chustkę od nosa, której wszakże użył z umiarkowaniem największem.

Po tem nowa znów a głęboka nastała cisza i trwała przeszło godzinę. Nic jej nie zamąciło; nic, nawet ukazanie się ulubionego psa Lento, który flegmatyczny jak jego pan krążył po gabinecie. Godny to pies! Wzór to dla całego rodzaju psiego. Jakby wyrobiony z tektury, jakby nogi miał wywatowane, najmniejszego swem wejściem nie zrobił szelestu.

Około ósmej godziny, gdy Lothe przyniosła starożytną lampę ze szkłem matowem, burmistrz przemówił do radnego:

— Czy nie ma tam jakiej pilnej ekspedycyi do wysłania, kochany panie Niklausse?

— Nie panie van Tricasse, nie ma żadnej, bądź pan zupełnie spokojny.

— Zdaje mi się wszakże, żem słyszał coś o tem, powiedział burmistrz, jakoby wieża bramy od strony Audenardu, miała grozić upadkiem?..

— No tak, to prawda, rzeczywiście, odrzekł radny, i co do mnie nie dziwiłbym się gdyby pewnego pięknego poranku runęła i zdruzgotała kilku przechodniów.

— Oh! odrzekł burmistrz uspakajająco, nim takie nieszczęście nastąpi, postanowimy coś względem tej wieży.

— Może być, panie van Tricasse.

— Teraz wszakże ważniejsze mamy rzeczy do załatwienia.

— Bez wątpienia, odpowiedział radny, a to np. kwestyja sklepów z wyrobami z miedzi.

— Czyż palą się one ciągle? zapytał burmistrz.

— Ciągle od trzech tygodni.

— Wszakżeśmy uradzili coś na sesyi pod względem ugaszenia pożaru...

— Tak, tak panie van Tricasse, zatwierdziliśmy wniosek pański.

— Czyż to nie najpewniejszy i nie najprostszy środek opanowania ognia?

— Tak, bez żadnej wątpliwości.

— Otóż przypomnijmy sobie czy to już wszystko?

— Wszystko, odpowiedział radny, trąc czoło jakby dla upewnienia się jeszcze, czy nie zapomniał przypadkiem o jakiej doniosłej sprawie. Ale, ale, panie burmistrzu, a czyś pan słyszał o wezbraniu rzeki i o niebezpieczeństwie jakie w skutek tego zagraża nisko położonej dzielnicy Ś-go Jakóba?

— Słyszałem, słyszałem, odpowiedział burmistrz. Co to mój Boże za szkoda, że wezbranie nie przyszło w kierunku sklepów z miedzią! Opanowałoby to pożar i uniknęlibyśmy długich mozolnych dyskusyj w tym przedmiocie. Cóż powiesz na to panie Niklausse, bo mojem zdaniem nic głupszego nad wypadki. Żadnego pomiędzy niemi by najmniejszego też związku, cóż więc dziwnego że niemożna jednego używać przeciw drugiemu.

Ta mądra uwaga van Tricassa wymagała pewnego czasu dla jej ocenienia przez interlokutora i przyjaciela.

— Wszakże... rozpoczął znów w kilka chwil radny Niklausse, nie mówimy dotąd o najważniejszym interesie!

— O jakim interesie? Mamyż jeszcze jaki ważny interes zapytał burmistrz.

— Bez wątpienia. Idzie tu o oświetlenie miasta.

— A tak, rzekł burmistrz, jeśli pamięć mię nie myli, pan chcesz mówić o projekcie oświetlenia miasta sposobem przedsiebranym przez doktora Ox?

— W istocie tak.

— Czyż tak?

— Rzecz ta postępuje panie Niklausse odpowiedział burmistrz. Przystępują już do położenia rur, fabryka zaś gazowa zupełnie ukończona.

— Być może, że za bardzo spieszymy się z tym interesem, rzekł radny kiwając głową.

— Być może, odrzekł burmistrz, lecz nas tłómaczy to, że doktor Ox sam ponosi wydatki doświadczeń przez siebie robionych. To nas nie będzie kosztować ani szeląga.

— W istocie to nas tłómaczy. Wreszcie postępować trzeba z duchem wieku. A jeśli doświadczenia powiodą się, Quiquendonc ze wszystkich miast Flandryi najpierw oświetlonem zostanie gazem tleno.... Jak to tam ten gaz nazywają?

— Gaz tleno-wodorodny.

— Niechże więc będzie gazem tleno-wodorodnym.

— W tej chwili drzwi otwarły się i Lotché przybyła oświadczyć burmistrzowi, że zupa na stole.

Radny Niklausse powstał aby się pożegnać z van. Tricassem, który interesa zdecydowawszy i załatwiwszy nabrał apetytu, nakoniec uznano za konieczne zwołać na sesyją ławników w terminie dość odległym a to w przedmiocie tymczasowego zadecydowania kwestyi rzeczywiście pilnej t. j. walącej się wieży od strony Audenardu.

Dwaj godni administratorowie, przeprowadzając jeden drugiego zwrócili swe kroki ku drzwiom, które wychodziły na ulicę. Radny wszedłszy do sieni zapalił małą latarkę mającą mu świecić na ciemnych ulicach Quiquendonc dotąd światłem doktora Ox nie oświetlonych. Noc była ciemna, było to bowiem w miesiącu grudniu a nadto lekka mgła zalegała miasto.

Przygotowania do wyjścia radnego Niklausse wymagały kwadrans czasu, albowiem zapaliwszy latarkę musiał włożyć swe duże kalosze wyłożone wewnątrz krowią sierścią i nadziać grube rękawice z baraniem futrem; następnie podniosłszy do góry kołnierz swego surduta, nasunął czapkę na oczy, wziął w rękę ciężki parasol z wygiętą rączką i wtedy gotów był już do wyjścia.

W chwili gdy Lotché, która przyświecała panu pobiegła naprzód by odsunąć rygiel, hałas niespodziewany dał się słyszeć z zewnątrz.

Tak jest, choć to rzecz nieprawdopodobna, dał się słyszeć hałas prawdziwy, hałas jakiego mieszkańcy miasteczka nie słyszeli od czasu zdobywania baszty miejskiej przez Hiszpanów. Przeraźliwy ten hałas rozlegał się po starym domu van Tricassa! Stukano gwałtownie do drzwi, nigdy dotąd brutalskiem dotknięciem nie skalanych! Ciosy wymierzano z podwójną siłą, narzędziem jakiemś twardem, prawdopodobnie sękatym kijem, wprawianym w ruch łapą widocznie silną. Uderzeniom towarzyszyły krzyki i wołania:

— Panie van Tricasse, panie burmistrzu otwieraj pan jak najprędzej.

Burmistrz i radny kompletnie oniemieli z przestrachu. Wciągnęli do gabinetu starą śmigownicę forteczną, która nie fukcyjonowała od 1385 r. i której mieszkańcy domu van Tricasse od tego czasu nie dotykali nigdy.

Uderzenia i krzyki gwałtowne, podwajały się tymczasem.

— Kto tam, oprzytomniawszy pierwsza zawołała Lotché, kto tam i czego potrzebuje?..

— To ja! to ja! otwierajcie...

— Co za ja?

— Ja... komisarz Passauf!

Komisarz Passauf!.. Ten sam o zniesienie którego posady toczyła się kwestyja od lat już 20. Cóż więc tam takiego zaszło? Czy Burgundowie zawładnęli miastem jakto miało miejsce w XIV wieku! Tej tylko wagi wypadek mógł spowodować komisarza Passauf do podobnego postępowania, co do spokoju bowiem i flegmy nie ustępował on w cale burmistrzowi.

Na dany znak przez van Tricassa, który nie był w stanie słowa wymówić z przestrachu, odsunięto rygiel i drzwi się otwarły, a komisarz wpadł wtedy jak bomba do przedpokoju.

— Co się to stało panie komisarzu? zapytała Lotché dzielna kobieta, w trudnych okolicznościach nigdy nie tracąca przytomności.

— To, odpowiedział Passauf, którego wielkie wytrzeszczone oczy wyrażały przestrach nie do opisania; to. żem przyszedł od doktora Ox gdzie było zebranie i że tam.....

— Tam? jęknął radny...

— Tam...ja...ja sam... byłem świadkiem zajścia takiego, że.... no.... krótko węzłowato.... panie burmistrzu... tam.... mówiono... o polityce!

— O polityce? powtórzył van Tricasse chwytając się za perukę.

— O.. po..li..ty..ce... odpowiedział komisarz Passauf, o której u nas przynajmniej od 100 lat nie mówiono. Rozmowa była gorąca... Adwokat Andrzej Schut i dr. Dominik Custos odstąpili nagle na bok, co ich pewno do....prowadzi do spotkania honorowego.

— Do spotkania! zawołał radny. Do pojedynku! Pojedynek w Quiquendonc! A cóż sobie u dyjabła powiedzieli ci panowie, adwokat Schut i dr. Custos?

— Zaraz, zaraz, nie tak nagle, toż to właśnie chcę dosłownie powtórzyć. „Panie adwokacie rzekł doktor do przeciwnika, za daleko się pan posunąłeś i jak mi się widzi nie umiesz wcale, słów swoich miarkować.

Tu Burmistrz van Tricasse załamał ręce z rozpaczy—radny zbladł i latarka wypadła mu z ręki a komisarz kiwał znacząco głową. Wyrażenia widocznie wyzywające wymieniono między takiemi znakomitościami!

— Ten doktor Custos, mruczał van Tricasse to stanowczo niebezpieczny człowiek, to gorąca pała ale wejdźcie panowie do pokoju!

Radny Niklausse i komisarz weszli do gabinetu a burmistrz van Tricasse wsunął się za nimi.

IV.

W którym doktor Ox przedstawia się jako doskonały fizyjolog i badacz niezrównany.

Któż to jest ta osobistość znana pod dziwnem nazwiskiem doktora Ox?

Na pierwszy rzut oka jest to sobie oryginał, ale jest to zarazem uczony fizyjolog, którego prace znane i cenione są przez całą Europę. Szczęśliwy to współzawodnik Darego, Daltona, Bostocka, Menziesa, Godwina, Vierordta, wielkich umysłów które postawiły fizyjologiję na najwyższym szczeblu rozwoju.

Dr. Ox jest człowiekiem średniej tuszy, wzrostu umiarkowanego, ma lat.... nie mogę oznaczyć jego wieku, jak niemniej jego narodowości. To wszakże nie przeszkadza mi zaznaczyć iż osobistość to dziwna, gorącą i porywcza, prawdziwe słowem przeciwieństwo ze wszystkiemi innemi mieszkańcami miasteczka Quiquendonc. W niego i w jego naukę wierzono jak w przykazania. Zawsze uśmiechnięty z podniesioną do góry głową, z rękami poruszającemi się swobodnie, ze wzrokiem pewnym, nozdrzami wydętemi i dużemi ustami podobał się wszystkim w ogóle i odrazu. Wesoły, pełen życia a zarazem rozwagi, chodził szybko jakby żywe srebro miał w żyłach, a ze sto igieł w podeszwach. Nie był w stanie usiedzieć spokojnie na jednem miejscu, wyrażał się gwałtownie, obficie używając gestów.

Czy był bogaty ten doktor Ox, skoro przyjął na swój koszt gazowe oświetlenie miasta?..

Prawdopodobnie; bo jakżeby mógł się obarczać tylu wydatkami; oto jedyna odpowiedź jaką możemy udzielić na niedyskretne pytanie.

Doktor Ox przybył od pięciu miesięcy do Quiquendonc w towarzystwie pomocnika Gedeona Ygène, wysokiego, chudego, suchego lecz nie mniej jak on sam żywego.

Ale dla czego doktor Ox przyjął na swój koszt oświetlenie miasta gazem? Dla czego wybrał na ten cel spokojnych mieszkańców Quiquendoncu, Flamandów najczystszej krwi i dlaczego ich chciał obdarzyć dobrodziejstwem o jakiem mowa?

Czy nie był to jaki zły zamiar, jaka dajmy na to chętka dokonania jakiegoś wielkiego fizyjologicznego doświadczenia? Czego chciał ten oryginał? Otóż tego nie wiemy. Doktor bowiem Ox, nie miał innego powiernika prócz jednego swego Ygène'a, posłusznego mu ślepo we wszystkiem.

Doktor Ox zobowiązał się oświetlić miasto, które bardzo tego co prawda potrzebowało, szczególniej w nocy jak utrzymywał komisarz Passauf. Fabryka do wyrabiania gazu była już zbudowaną, gazometry były gotowe, rury założone w ziemi, miały być już wkrótce wprowadzone do zabudowań publicznych a nawet do domów prywatnych niektórych przyjaciół postępu.

Burmistrz van Tricasse, radny Niklausse i kilka innych znakomitości, dla dania dobrego przykładu, postanowili zezwolić na wprowadzenie tej nowości do swych także pomieszkań.

Jeżeli czytelnik nie zapomniał długiej rozmowy radnego z burmistrzem, to wie iż mówiono tam o tem jako oświetlenie miasta dokonywać się ma nie za pomocą zwykłej bynajmniej kombustyi węgla kamiennego przez dystylacyją, lecz za pomocą użycia na ten cel gazu nowszego o dwadzieścia razy jaśniejszego t. j. gazu tleno-wodorodnego, tworzącego się z połączenia wodoru z tlenem.

Doktor otóż będąc zdolnym chemikiem i genijalnym fizykiem, umiał otrzymywać ten gaz w wielkiej ilości i z dobrym skutkiem, nie według przepisu Tessie du Motay, to jest przez użycie sody, ale po prostu przez rozkład wody lekko zakwaszonej za pomocą stosu galwanicznego tworzącego nowe elementy przez niego wybadane. Nie używał więc ani kosztownych materyjałów, ani platyny ani alembików z wężownicami, ani paliwa ani żadnych delikatnych przyrządów do spowodowania chemicznego rozkładu dwóch gazów. Prąd elektryczny przechodził przez obszerne naczynie napełnione wodą a tym sposobem płynny element rozkładał się na tworzące go dwa pierwiastki t. j. tlen i wodór. Tlen wydobywał się jedną stroną, wodór w podwójnej objętości drugą. Oba gazy zbierały się w rezerwoarach oddzielnych, czego wymagała konieczna ostrożność, albowiem mięszanina zapalając się mogła spowodować straszny wybuch. Następnie rury miały tę mieszaninę oddzielnie doprowadzać do różnych beków, które znów miały być urządzone tak iżby eksplozyja nie nastąpiła. Z tego tworzył się płomień znakomitej świetności, płomień którego blask współzawodniczyć może ze światłem elektrycznem, bo według doświadczeń Casselmana równy on jest blaskowi tysiąca stu siedmdziesięciu świec woskowych, ani jedna więcej ani jedna mniej.

Pewną jest rzeczą że miasteczko Quiquendonc zyskałoby na tej genijalnej kombinacyi doskonałe oświetlenie, lecz o to właśnie dr. Ox i jego pomocnik jak to później zobaczymy najmniej się troszczyli.

Zaraz nazajutrz po wiadomem już zebraniu Gedeon Ygène i doktor Ox rozmawiali we wspólnej swej pracowni na parterze głównego zabudowania fabryki gazu.

— A widzisz Ygène, a widzisz! wołał doktor Ox zacierając ręce. Toż musiałeś zauważyć jak wczoraj na zebraniu ci poczciwi mieszkańcy Quiquendonc'u, tak niegdyś zimni i nie zdradzający żadnych namiętności, rozprawiali, podnosili głos i gestykulowali. Widzisz jak się już odmienili moralnie i fizycznie! A toć to początek tylko! Poczekaj jeszcze chwilę a zobaczysz co z nich zrobimy.

— Rzeczywiście mistrzu, odpowiedział Gedeon Ygène, opierając koniec małego palca na nosie, doświadczenie udaje się dobrze, ale gdybym wcześniej nie zamknął kranu wypływowego, nie wiem co by dalej było.

— A słyszałeś adwokata Schuti doktora Custos jak się przemówili, podchwycił doktor Ox. Wyrażenie samo przez się wcale nie było ubliżającem, lecz w ustach mieszkańca Quiquendonc, zdaje się mieścić w sobie cały szereg obelg, jakiemi bohaterowie Homera obrzucają się przed wydobyciem mieczów. Oj ci Flamandowie! ci Flamandczykowie! zobaczysz co my z nich zrobimy!

— Zrobimy z nich niewdzięczników, odrzekł Gedeon Ygène tonem człowieka znającego dobrze ród ludzki.

— To, odpowiedział doktor, to mało nas mój bracie obchodzi, mniejsza czy będą wdzięczni czy nie, byleby się tylko doświadczenie nam udało.

— Ale, odrzekł pomocnik uśmiechając się złośliwie, czy pobudzając tak silnie organa oddechowe, nie nadpsujemy płuc poczciwcom zaludniającym Quiquendonc?

— Mniejsza o to, toż to co robimy, robimy w interesie nauki. Cóżbyś powiedział, gdyby żaby albo psy chciały się opierać doświadczeniom za życia na nich praktykowanym.

Prawdopodobnie, pytane żaby i psy nie pozwoliły by nigdy na to, ale doktor Ox w podanym przez się przykładzie, widział niezaprzeczony argument i odetchnął z zadowoleniem.

— Z tego wszystkiego widzę, że masz słuszność mistrzu, rzekł Gedeon Ygène zupełnie przekonany. Nie mogliśmy nic zrobić lepszego, jak wybrać dla naszych doświadczeń mieszkańców miasteczka Quiquendonc.

— Istotnie, że lepszego nic zrobić nie było można, dobitnie wymawiając każdą sylabę odrzekł doktor.

— Czyś badał puls tych istot doktorze?

— Sto razy.

— I jakiż jest średni wypadek obserwowanych uderzeń?

— O z pewnością nie pięćdziesiąt na minutę. Wyobraź że sobie mieścinę w której od wiek wieków nikt o niczem nigdy nie myślał, mieścinę w której dorożkarze i furmani nie przeklinają, konie nie unoszą, psy nie kaleczą, koty nie drapią; mieścinę w której sąd policyi prostej świętuje po latach całych; mieścinę której mieszkańcy do niczego nie objawiają skłonności: ani do sztuk pięknych ani też do przedsiebierstw; mieścinę w której jeden protokół śledczy na sto lat przypada, mieścinę nakoniec w której od trzystu lat nie było przypadku bójki choćby na pięści tylko! Pojmujesz mój Ygène, my to wszystko zmienimy.

— Doskonale! doskonale! odrzekł zachwycony pomocnik. A dokonałżeś mistrzu analizy chemicznej składu tutejszego powietrza.

— Nie zaniedbałem i tego. Siedmdziesiąt dziewięć części azotu, dwadzieścia jedna część tlenu, kwasu zaś węglowego i pary wodnej — różne ilości.

— Dobrze doktorze, dobrze, odpowiedział Ygène. Teraz zrobimy doświadczenie na wielką skalę i stanowczo decydujące.

— A jeżeli będzie decydujące, dodał dr. Ox z miną tryumfalną, to wtedy cały świat przeobrazimy.

c. d. n.

NASZE CZASOPISMA.

I.

Zamiast wstępu mowa o grzechach.—Któż winien?—Ktoś co na wiatr rzuca frazesy.—Biblijoteka Warszawska.—Nowalijki paryskie i płody krajowe.—Błędne kółko.—Jak z niego wybrnąć?—Bodajto młodość!

Znany jest powszechnie zwyczaj, że przed udaniem się do trybunału pokuty, robimy rachunek sumienia. Katecheci mają nawet mnóstwo argumentów, które jasno i przekonywająco dowodzą potrzeby takiego postępowania. Nie będę ja tu tych argumentów wyszczególniał, bo każdy łatwo je znajdzie u ks. Gaume'a albo ks. Guillois; przyznam się natomiast otwarcie, iż mię one skruszyły do tego stopnia, żem postanowił nie tylko za siebie lecz i za innych

robić rachunek sumienia. Rzecz naturalna, że jako dziennikarz dopełniam tej powinności po dziennikarsku t. j. w obec całej dziennikarskiej braci.

Jak kto na tem wyjdzie, nie wiem; a choćbym nawet wiedział, nie chciałbym się wygadać. Gdybym bowiem prorokował stąd świetną przyszłość dla siebie i dla wszystkich, wziętoby mię za zarozumialca, a od czasu zwłaszcza jak Dra Baudouina de Courtenay zarozumiałym nazwano, nie pragnę tego zaszczytu. Gdybym zaś chciał być sceptykiem, malując czarne chmury nad zamiarem moim wiszące, wydawcy zwróciliby mi pisaninę, mówiąc: Jeżeli pan nie wierzysz w powodzenie swego artykułu, to my nie czujemy się w obowiązku zastępować go pod tym względem.

Nie rozwiązuję więc gordyjskiego węzła ani go rozcinam. Zostawiam go tak jak jest. A w jakim on stanie istotnie się znajduje, tego ja również nie wiem. Od czasu bowiem jak zaczęto go używać, wyrabiano z nim tyle ewolucyj, że Salomon nawet zrozpaczyłby, gdyby mu zaproponowano stan jego zdefinijować. Nie chcąc z Salomonem rywalizować, muszę się ograniczyć na skromniejszej roli rachmistrza grzechów dziennikarskich. Być może, że z tego powodu zostanę kozłem ofiarnym; ale zostawszy nim, dowiodę jak mi się zdaje, że i kozły na coś się zdadzą.

Ale czy rzeczywiście na co się zdadzą? czy doprawdy potrzebny jest rachmistrz literackich grzechów? Czyż literaci nie znają się ze sobą: mówiąc chłopskiem przysłowiem, jak łyse konie? Co prawda, to prawda. W Warszawie znamy się prawie wszyscy, ale tylko jako ludzie; tego co piszemy i co drukujemy, nie wszystkim chce się czytać, nawet literatom...

Gdyby mię przyparto do muru i zapytano o dowody, potrafiłbym przytoczyć sporą ich wiązkę; na teraz dość będzie wspomnieć o dwu, dostarczonych przez dwie nasze illustracyje, w bardzo krótkich odstępach czasu.

Oto p. Gajewski piszący specyjalnie o Czarnogórzu w *Kłosach* (Nr. 537) przytacza francuskie źródło, z którego nie jeden szczegół dziejowy poczerpnął. Źródłem tem jest dzieło nieboszczyka Delarue, sekretarza przy Danielu, księciu czarnogórskim. Cóż powiecie? Ani autor ani redakcyja słówka nawet nie wspomniała, że dzieło to mamy nietylko w streszczeniu ale w dosłownem tłómaczeniu. Streszczenie pojawiło się w „Przeglądzie Europejskim" 1862 (zesz. lipcowy i sierpniowy) a przekład dokładny w „Biblijotece Warszawskiej" 1864 (zesz. kwiet., majowy i czerw.).

W *Tygodniku Illustrowanym* zaś Nr. 408, recenzent poematu łacińskiego Klonowicza p. n. *Gorais* twierdzi, że utwór ten czytająca publiczność zna jedynie ze sporu, jaki toczyły niektóre nasze czasopisma co do pierwszeństwa w podaniu o nim wiadomości, i że później nikt nie zadał sobie pracy bliższego rozpatrzenia się w utworze słynnego polsko-łacińskiego pisarza. Zdawałoby się, że ten, kto tak stanowczy wydaje wyrok na naszych krytyków i dziennikarzy, za ich niedbalstwo w rozpatrywaniu pojawiających się wiadomości, sam z ruchem piśmienniczym najdokładniej jest obeznany. Złudzenie! Ten surowy Zoil nie zna widocznie sprawozdania o *Goraidzie*, pomieszczonego w „Gazecie Polskiej" jeszcze przed kilku miesiącami!

Takie rzeczy dzieją się u nas niemal codziennie. Wszak nieraz wyborny projekt, podany przez jakieś pismo, nietylko rozbieranym ale nawet wspominanym nie bywa w innych czasopismach. To dowodzi, że literaci mają dla siebie szacunek, ale tylko czysto-zewnętrzny. O poszanowaniu pracy wzajemnej nie pamiętają.

Ale cóż w tem dziwnego? Nie tylko artykuły dziennikarskie, ale książki całe, owoc pracy nieraz kilkoletniej, wzmiankują się po większej części w ogłoszeniach tylko księgarskich lub katalogach, chociaż to ostatnie daleko rzadziej się trafia. Najpoważniejszy organ naszego dziennikarstwa—*Biblijoteka Warszawska*, poświęca stale co miesiąc *trzydzieści* stronic na sprawozdania z książek i utworów sztuki, ale tylko *zagranicznych* a głównie *francuskich*. Dla polskich natomiast dzieł pozostawia szary koniec. To też na tym szarym końcu mieszczą się te tylko biedaki, co się zmieścić zdążą i potrafią. Wszak jesteśmy tak gościnni! Bonom francuskim oddaje się pierwszeństwo przed bonami krajowemi; więc też i książkom francuskim słusznie *Biblijoteka* podobny hołd oddaje. Powiadają niektórzy nudziarze, że piśmiennictwo w ogóle a dziennikarstwo w szczególe powinnyby stać na czele ruchu społecznego i kierować nim... Może to i prawda, ale prawda nie dla nas. Dla nas przewodniczką ruchu jest zagranica, zarówno w społeczeństwie jak i w *Biblijotece*... i dziennikarstwie chciałem powiedzieć. Że się da wiadomość o książce polskiej w dwa lata po jej ukazaniu, albo nic się o niej nie powie, wielkie rzeczy!... byle tylko o każdym wierszyku paryskim jak najprędzej publiczności polskiej donieść i dać mu go posmakować w przekładzie, zanim dojdzie do Warszawy w oryginale.

A były przecież w *Biblijotece* chwile nieco weselsze. Dawała ona miejsce nawet przeglądom prasy peryjodycznej w obszernych stosunkowo rozmiarach. Zrobiła to ona raz jeden na taką skalę i źle obrachowała doniosłość swej pracy; całoroczne bowiem sprawozdanie z ruchu czasopiśmienniczego pozbywało się zalety świeżości i nie mogło być dokładne. Ale jakiekolwiek, zawsze is niało przynajmniej i świadczyło o zajęciu się sprawami bieżącemi społeczeństwa. Jeżeli się nie mylimy, zawdzięczała *Biblijoteka* ten przegląd potężnemu ruchowi dziennikarskiemu w 1872 i 1873 roku, kiedy w rozmaitych czasopismach znajdowaliśmy wzajemną kontrolę. Świetne to były i zajmujące czasy! Poruszyły one umysły i pióra i wywołały prawdziwą powódź projektów. I *Biblijotece* ruch ten się udzielił, jakkolwiek najpóźniej pobudził ją i uczynił swojską kronikarką. Dziś nasz poważny organ spoczywa na laurach, zwracając się przeważnie ku Francyi, czasami ku Anglii, Niemcom, Stanom Zjednoczonym, Mongolii, a do spółczesnej sobie literatury bratniej zdaje się mówić: rób sobie co chcesz, tylko mnie nie ruszaj.

Tej zasady „noli me tangere" trzyma się większa część naszych czasopism. *Niwa, Tygodnik Illustrowany*, a szczególniej *Ognisko Domowe, Kłosy, i Gazeta Warszawska*, przepis kościoła spowiadania się raz na rok około Wielkiejnocy, zastosowują również do sprawozdań literacko-naukowych. *Ognisko* ma jeszcze tę nieopłaconą zaletę, że jak się zdaje, wychodzi dla rodzin zamieszkałych nad rzekami *Manzanares* lub *Gangesem*, gdzie podobno wielu znajduje czytelników i czcicieli. Trochę skrupulatniej postępuje *Gazeta Polska*, grzesząca zbyt obszernemi wyjątkami z rozbieranych powieści i strojny *Bluszcz*, który czasami umieszcza łokciowe recenzyje o książkach, które przed 12 ukazały się laty.

W ogóle rzeczy biorąc, kwestyja sprawozdań krytycznych o książkach i czasopismach w następujący przedstawia się sposób. Ponieważ publiczność nasza nie jest przygotowana do rozwagi naukowej, więc też czasopisma starają się pomieszczać w swych szpaltach jak najmniej naukowo-literackich rozpraw i recenzyj. Dla kogóż bowiem, powiadają wydawcy, drukować będziemy takie prace, jeżeli publiczność czytać ich nie będzie? Czasopisma istnieją na to, ażeby były czytane, a nie na to, ażeby z nierozciętemi kartkami poszły na formy do sukien lub inne gospodarskie potrzeby...

Publiczność zaś, a przynajmniej niektórzy inteligentniejsi jej członkowie powiadają, że chętnieby zasięgali wiadomości o nowych pracach z dziedziny nauki i sztuki, gdyby je w pismach naszych napotykali.

Z tych dwu przeciwnych sobie poglądów powstaje „kółko błędne," z którego, jak mówią, wyjść niepodobna. Jedni zwalają winę na drugich a rzecz pozostaje *in statu quo*. Zdaje się jednak, że czas by już wyjść z tego zaczarowanego kółka. Cóż na to poradzić?

Ażeby się ruch jakikolwiek rozpoczął, potrzeba *inicyjatywy*. A któż w tym razie inicyjatywę dać może? Nie publiczność bezwątpienia, która jest bierna, ale publicystyka, czasopiśmiennictwo. Jeżeli przestaniemy kłaść w uszy czytelnikom, że tylko zagranicą ruch piśmienniczy rozwija się i prosperuje; jeżeli obok powieści, wzorów mód, polityki i nowin miejskich zaczniemy zwracać uwagę publiczności na to, że i w naszej literaturze istnieją dzieła treści lingwistycznej, historycznej, ekonomicznej, przyrodniczej, powieściowej i t. d. i to dzieła warte czytania; to prawdopodobnie po pewnym przeciągu czasu publiczność odpłaci się wzajemnością, interesując się temi dziełami i chętnie czytając sprawozdania krytyczne dla wyrobienia i wydoskonalenia swego sądu.

Może się mylę; ale niepodobna mi było nie wypowiedzieć kilku zdań, które mi oddawna na sercu leżały a które jak sądzę, mają choć trochę prawdy za sobą. Dla tego też zapocząwszy pisać o naszem czasopiśmiennictwie, musiałem przedewszystkiem wspomnieć o jednej z jego cech charakterystycznych, o braku części sprawozdawczo-krytycznej. Cechę tę ośmielam się nazwać poprostu wadą; gdyż tak samo jak człowieka nie umiejącego wydać własnego sądu o rzeczy nazywamy niedołęgą, tak też podobny epitet, trochę tylko delikatniejszy, należy się czasopiśmiennictwu, które boi się, nie chce lub nie umie wypowiadać

swego zdania w obec czytelników o najżywotniejszej może dziedzinie naszego życia społecznego—o literaturze.

X.

ZWALISKA ZAMKU JAGIELLONÓW w Miednikach.

Szczegóły dotyczące zamku Jagiellonów w Miednikach w gub. Wileńskiej, którego ruiny przedstawia drzeworyt na stronnicy 676 pomieszczony, znajdzie czytelnik w Nr. 5 „Opiekuna Domowego“ z r. b. w artykule: Zarysy gubernij północno i południowo-zachodnich, stronnica 76 łam 3, wiersz od góry 3 i dalsze.

STATUA KRÓLA JANA III SOBIESKIEGO.

Statua Jana III na moście przed pałacem Łazienkowskim, wyobrażona na drzeworycie zamieszczonym w dzisiejsiejszym numerze „Opiekuna.“ wykuta z kamienia ciosowego, przygotowanego jeszcze za króla Jana III i wykonana z grubsza, wiek prawie cały spoczywała w Szydłowcu. W r. 1788 kazał ją stamtąd sprowadzić król Stanisław August i wykończyć swemu nadwornemu rzeźbiarzowi Franciszkowi Pinck.

Cały pomnik ma wysokości stóp 10, przedstawia króla Jana na koniu, w stroju rzymskim, w szyszaku na głowie, trzymającego w ręce buławę i wskazującego nią na pole bitwy, drugą ręką Sobieski kieruje rumaka, mającego pod nogami dwóch Turków.

Na tarczy po prawej stronie pomnika, ubranej w trofea wojenne mieści się napis w języku polskim:

JANOWI III
KRÓLOWI POLSKIEMU
WIELKIEMU KSIĘCIU LITEWSKIEMU
KRAJU I SOJUSZNIKÓW
OBROŃCY
któregośmy postradali
R. P. MDCXCVI
S. A. K.

na takiejże zaś tarczy po stronie lewej mieści się ten sam napis w języku łacińskim.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kielce, 31 października 1875 r.

Warszawianie, ci nadewszystko, którzy od lat wielu niewychylając się za granicę najbliższych okolic miasta, doświadczyli na sobie zęba wzrastającej drożyzny, myślą bezwątpienia że tak zwana *prowincyja* jest „krainą mlekiem i miodem płynącą,“ a przynajmniej, że w tem lub owem miasteczku jak *mieszkanie*, tak i *życie* dziesięć razy, niż w Warszawie tańsze. Bardzo się mylisz, grodzie syreni! a mylisz się tem pewniej, jeśli idealizując nasze murowane, prowincyjonalne zacisza, marzysz np. o Kielcach... „Hola! zawoła może niejeden z czytelników, wszakże to tam są „marmury,“ „wieńce z lasów“ „łańcuchy wzgórz,“ a w samem mieście liczna inteligencyja, jużto cicho pracująca na chleb powszedni, jużto przez miejscowy organ publiczny przemawiająca do ogółu?..“ Wszystko to potrosze prawda, moi panowie; ale ja teraz nie o bogactwie i wdziękach natury, i nie o mądrości ludzkiej, lecz o sprawach codziennych i chlebie powszednim chcę mówić...

Anachroniczne śniegi i mrozy każą nam myśleć o jakiem takiem zabezpieczeniu i ogrzaniu domowego kąta.. Nędza warszawska w łachmanach i surdutach dmucha pewno w ręce i tupie nogami, zazdroszcząc tym, co bliżej lasów mieszkają. „Kielczanom, myśli sobie kto może, co to potrzebują tylko ręką sięgnąć, aby dostać do boru, musi być ciepło. jak u Pana Boga za piecem.“ Pocieszcie się mili bracia: my tu bardziej niż wy kostniejemy od zimna. Warszawianin, gdy ma *dyskę* w kieszeni, może u najbliższego sklepikarza kupić próbkę materyjału opałowego i ku prywatnemu zadowoleniu ognisko w domu rozniecić; podczas gdy mieszkaniec grodu, śród lesistej położonego okolicy, i za kilka rubli nie zawsze dziś cudu tego dokaże... Zapytacie: dla czego? Zaraz odpowiem; mimo że odpowiedź nie łatwa. W drzewo zaopatrywali dotąd miasto i zaopatrują przeważnie włościanie. Drzewo to jednakże, w rozmaity sposób zbierane i ścinane, rzadko zdatnem bywa na opał. Stąd wynikały wzajemne sąsiedzkie skargi Kielczan; aż naraz jeden z nich, podupadły obywatel, głowa komisowego kantoru, bierze do serca ogólną potrzebę, i jako pośrednik, przyjmuje liczne zamówienia na dostawę niezbędnego w gospodarstwie domowem artykułu. Mija dzień, mija drugi, mija trzeci: interesanci, dzwoniąc zębami, zgłaszają się do biura i... odmówną ciągle otrzymują odpowiedź. Minął tydzień i więcej: ten i ów, dzięki własnym zabiegom, zaopatrzył się przepłacając w trywijalny przedmiot marzeń, a kantor, z przyczyny doznanego zawodu ze strony *dostawców współobywateli*, zwrócić był zmuszony wzięte z góry od klijentów pieniądze. Wprawdzie ci dostawcy (!) usprawiedliwiają się złą drogą i niepogodą; w gruncie jednak tej małej sprawy leży tajemnica głęboko podkopujących naród klęsk ekonomicznych, *zła wiara*. Mieszkania w Kielcach są, w ogóle niewygodne i drogie. Niedogodność ich leży w części na sumieniu budowniczych i rzemieślników, w części wynika z nierozumnej chciwości przedsiebiorców i właścicieli. Wysoką zaś ich cenę jużto tej samej przyczynie, jużto wzrostowi stałej ludności i napływowi wojsk przypisujemy. Mieszkanie jednopokojowe, kawalerskie jest tu prawie zawsze albo *bezwzględnie* droższe, albo tak drogie jak w Warszawie; lokale zaś familijne, *stosunkowo* droższe. Toż samo powiedzieć można i o artykułach żywności, względnie do potrzeb pojedyńczej osoby lub całej rodziny.

Handel kielecki opiera się z małym wyjątkiem na systemie kramarskiego wyzyskiwania i jest przeważnie handlem z trzeciej ręki. Sklepy korzenne, zamienione na szynki ludowe, raz tylko czy dwa razy do roku zaopatrują się w świeże produkty. Dla czasowego zamydlenia oczu pytającym się o towar gościom, dają zwykle sumienniejsi gospodarze tych przybytków obietnicę, która nigdy prawie urzeczywistnioną nie bywa. „W tych dniach świeży transport nadejdzie!“ oto oklepane „bon mot“ tutejszych pp. kupców w ogóle, a szczególniej korzenników. Wyjątek jednakże z pomiędzy tych ostatnich stanowią o ile nam wiadomo: pp. Krenn i Hönigman. Ale przejdźmy do innego przedmiotu. Życie umysłowe między klasą urzędniczą powoli się budzi. Wzajemne pożyczanie sobie książek i czasopism stało się w kilku kółkach sprawą na porządku dziennym, co naturalnie przypisać należy szczęśliwemu wpływowi inteligentniejszych jednostek. Zakłady nawet gastronomiczne bywają niekiedy teatrem polemik czysto naukowych. Niedawno np. byłem świadkiem dość porządnie prowadzonego sporu w kwestyi żydowskiej, której wszystkie niemal skopuły zostały dzięki jednemu z biesiadujących w ogólnym zarysie, pośród ożywionego dyjalogu zdrowo rozpatrzone. Faktów podobnych jednak przeceniać ani zbyt uogólniać nie myślimy. Co się tyczy innych rzeczy bieżących, to te są w części rozrywkowe, w części żałobne. Do pierwszych zaliczamy: przyjazd do Kielc p. Krauzego z dość liczną trupą dramatyczną, i co zatem idzie szereg szczęśliwych niekiedy przedstawień: oczekiwane w tych dniach wystąpienie słynnego gitarzysty Stanisława Szczepanowskiego (ur. 1811 r.) a nadto zapowiedziane oddawna przybycie (jeśli to faktem nazwać można) niemniej znakomitej, choć o wiele od poprzedniego młodszej śpiewaczki p. Friderici Jakowieckiej. Do wypadków żałobnych należy, między innemi, dawno przewidziana śmierć (28 paźdź.) ś. p. Leona Sokołowskiego, doktora medycyny, inspektora służby zdrowia, człowieka, który za życia jako ojciec i obywatel, zasłużył sobie na powszechny szacunek, odznaczając się w stosunkach domowo-społecznych zarówno prawym charakterem, jak rozumem i popularnością. Był on jednym z wychowańców dawnego uniwersytetu wileńskiego.

O innych sprawach kieleckich w następnej pomówię korespondencyi. *S. F.*

ŚLADY ŻYCIA.

XLIV.

Dzień 2 listopada, dzień poświęcony pamięci zmarłych, cała bodaj Warszawa spędza zwykle na mogiłach ukochanych osób. I w bieżącym też roku ludno było *w zaduszki* na Powązkowskim cmentarzu, i w bieżącym też roku miasto umarłych jaśniało uroczystą iluminacyją świateł w które wdzięczna pamięć, ustroiła ciche ostatnie drogich swoich schronienia! Niepodobna doprawdy wyobrazić sobie ile tęsknego mają uroku te ogniki płonące na rozległej cmentarnej przestrzeni, nie podobna nie odczuć gorących modłów zanoszonych po przez łzy i westchnienia w pośród ciszy listopadowej nocy, to też łącząc się z prośba-

mi bliskich, *„pokój wam wieczny“* szeptały usta najobojętniejszego nawet widza.

* * *

Czytelniku, czy czasem nie jesteś zwolennikiem filozofii Leibnica..... No, niechże cię tak nie dziwi moje pytanie, bo widzisz, ten Leibnic był to sobie niemiecki filozof i jako taki miał to głębokie przeświadczenie, że wszystko jest najlepsze na tym najlepszym ze światów i jakkolwiek Wolter, swoim Candidem starał się ów świat przekonać, że nie jest on bynajmniej tak roskosznym jak mniemają jego wielbiciele, to jednak znajduje się i dziś jeszcze wielu bardzo zwolenników tego niemieckiego filozofa i jego głębokiej filozofii..... i stąd moje pytanie, szanowny czytelniku. Przypuśćmy zresztą, że nie słyszałeś o owym filozofie, że nie masz najmniejszej sympatyi ku wszelakiej filozofii, ja jednak nie cofam pytania... Są bowiem bezwiedni wyznawcy, nawet w filozofii, a szczególniej w niemieckiej, która właśnie według najnowszych poszukiwań Hartmanna opiera się na bezwiedzy.... Dajmy jednak pokój filozofii. Po części należy ona już do przeszłości, jej jednak bezwiedni zwolennicy gęsto spotykają się w teraźniejszości, i ci nas bardzo obchodzą. Czytelniku, posądzałem cię o należenie do tej bezwyznaniowej sekty, ale ty jako żywo, wyrzekasz się wszelkiej wspólności z bezwiedzą i Leibnicem. Przeciwnie, jesteś niezadowolony. Utrzymujesz że mieszkania są za drogie, że mięso także jest drogie, węgle także, a drzewo tembardziej; masło też, jaja też, owoce też i t. d. do nieskończoności; masz równie to wewnętrzne przekonanie, które możesz nawet stwierdzić za pomocą najdokładniejszej obserwacyi że pieniędzy mamy mało.... a roboty jeszcze mniej, chociaż dużo takich co szukają robotników. Źle jest, powiadasz. Masz najzupełniejszą słuszność, wybacz, żem cię posądzał o solidarność z niemiecką filozofiją... Gotów byłem nawet posądzić cię o wiele innych rzeczy, przebąkiwałem coś o bezwiedzy.. ale powiadasz, że źle jest, jesteś niekontent z tego świata, nawet gniewa cię tak wczesne zimno i szkaradna pogoda.... Dobrze więc. Wspominałeś coś o owych pracownikach, szukających pracy het tam gdzieś, w jakimś ziemskim raju, gdzie pieniądze można nagarniać łopatą, o pracodawcach, sprowadzających pracowników także gdzieś z daleka z nad Sprewy i Łaby... Otoż widzisz czytelniku, są ludzie, którzy w prostocie swego ducha sądzą, że byłoby dla obu stron korzystniej, aby ci co nie mają zajęcia przestali marzyć o dalekich tysiącach, które są takiemi nierzadko tysiącami jak gruszki na wierzbie i ażeby ci, co potrzebują pracowników, nie sprowadzali z tak daleka swych najserdeczniejszych przyjaciół. Wydaje mi się manipulacyja daleko prostszą, ażeby obie strony porozumiały się tu na miejscu; żeby jedni dali pracę, a drudzy zarobek, a zniknie potrzeba robić dalekie wycieczki. Ty, czytelniku, jesteś tego samego zdania, nieprawdaż?.. Naturalnie. Otoż ludźmi, co tak sądzą.... ależ omyliłem się i przepraszam za to, kochany czytelniku. Chciałem powiedzieć, człowiekiem co nie tylko tak sądzi ale i działa podobnie, jest p. Kossuth, technolog, redaktor Przeglądu Technicznego i założyciel „Biura stręczącego pracę,“ które ma właśnie połączyć owe rozstrzelone dążenia. Sądzisz, bez wątpienia, że takie skoncentrowanie naszego rozstrojonego społecznego organizmu, może mu bardzo wyjść na dobre i jest zupełnie na czasie... „Biuro stręczeń“ nie będzie jednak, niestety, instytucyją filantropijną ku wielkiemu zmartwieniu wszelkich kandydatów na honorowe posady, ale ma tę prozaiczną nadzieję, że zdoła się utrzymać z swego własnego zarobku, a zarobkiem tym ma być dwa od sta, pobierane jednorazowo od rocznej pensyi, zarówno od pracodawcy jak i otrzymującego pracę. Wpisowego nie opłaca się. Biuro ma stręczyć wszelkich specyjalistów i w tym celu stara się o zawiązanie jaknajszerszych stosunków w kraju. Bióro mieści się przy ulicy Nowozielnej pod Nr. 55. Mamy nadzieję, że biuro stręczeń zyska zaufanie zarówno pracodawców jak i naszej młodzieży, która częstokroć pomimo specyjalnego uzdolnienia, nie może wynaleść sobie odpowiedniego zajęcia i mamy również to przekonanie że biuro jakkolwiek jest instytucyją tylko prywatną, potrafi oddać wielkie usługi publiczne i zyskać sympatyją i poparcie naszego myślącego i pojmującego swoje obowiązki ogółu.

* * *

Kiedy już mowa o pracy, pracodawcach, pracownikach i specyjalistach, to niedaleko do pracownic i pracowni. Otóż, czytelniku, mam ci zamiar donieść, że w niedzielę d. 31 zeszłego miesiąca, odbyło się poświęcenie nowego sklepu „Spółki połączonej pracy kobiet.“ Zebranie zagaiła założycielka i opiekunka zakładu, pani Kuczyńska, wyjaśniając w krótkich i pięknych słowach myśl jaka przewodniczyła założeniu zakładu i koleje jakie przechodził. Z przemówienia tego dowiedzieliśmy się, że od początku otworzenia zakładu, co miało miejsce we wrześniu 1870 r. do dnia dzisiejszego pracowało w spółce 300 pracownic, 450 nauczono rozmaitych rzemiosł a 200 otrzymało pomieszczenie za pośrednictwem kantoru stręczeń pracy kobiecej, który istnieje przy zakładzie. Obecnie dla zwiększenia odbytu dla swoich produktów i powiększenia funduszów za pomocą handlu, spółka z poprzedniego pomieszczenia na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej przeniosła się do nowego mieszkania przy ulicy Marszałkowskiej pod Nr. 56, i otworzyła tamże obszerny sklep frontowy, pięknie urządzony z piękniejszą jeszcze dewizą „Połączenie słabych wytwarza potęgę.“

Oto, czytelniku, kronikarska notatka.... Sama instytucyja znana ci zapewne oddawna, tobie co jesteś tak wielkim zwolennikiem pracy kobiecej, co ubolewasz nad losem biednych pracownic, wyzyskiwanych skutkiem własnego niedołęstwa i przewagi możnych, tobie co tak narzekasz na szczupły zakres kobiecych zatrudnień i co nareszcie tak bolejesz nad losem tych, co żadnego nie znajdują zajęcia.... Kto wie jednak, czy zbytnio zajęty wielkiemi, wszechludzkiemi i wszechkobiecemi ideami o wyzwolenia pracy, emancypacyi, prawach do pracy i t. d. nie zapomniałeś niektórych szczegółów. Przyznajesz że wyszły ci z głowy te drobiazgi, co zresztą jest rzeczą zupełnie naturalną, gdyż głowa ta zajęta tak wielkiemi myślami....

Nic nawet dziwnego, że i sama spółka, skoro przestała być nowinką, przestała cię zupełnie zajmować i dziś, doprawdy niebyłbyś w stanie odpowiedzieć co to jest właściwie ta spółka. Byłbyś zaprawdę w kłopocie gdyby cię spytano czy jest to instytucyja prywatna, czy publiczna; filantropija czy oparta na interesie i na czyim mianowicie interesie. Przepomniałeś o tem wszystkiem, kochany czytelniku, jako o zwykłych drobnostkach naszego życia..... A ty czytelniczko nie masz czasu na zajmowanie się tego rodzaju kwestyjami. Dom, dzieci, wizyty, te nieznośne mody, które się tak często zmieniają, że nie możesz sobie z niemi dać rady, wszystko to najzupełniej absorbuje twój czas, twoję uwagę... i twoje pieniądze Ty zaś, czytelniczko, która potrzebujesz pracy, nie możesz się tem także zajmować, zresztą, kto ci o tem mówił, kto wskazał drogę, kto dał środki.... Otóż pozwólcie, że wam przypomnę niektóre drobne szczegóły. „Spółkę pracy kobiet“ składają: założycielki, które włożyły po 500 rs., spólniczki z kapitałem rs. 100 i nareszcie uczestniczki z 15-o rublowemi wkładami. Kapitał zebrały założycielki i spólniczki, nie ich jednak interes spółka miała mieć wyłącznie na celu. Miały one dostarczyć spółce kapitału stałego i obiegowego, swoją pracą i energiją zapewnić byt spółce i rozszerzyć jak najbardziej zakres jej działalności w kierunku zbytu i produkcyi; wciągnąć jak największą liczbę pracownic w zakres swoich zajęć, rozszerzając i pomnażając te zajęcia, jednem słowem, organizować pracę kobiecą i nareszcie przypuszczać wszystkie pracownice do udziału w zyskach i zapewnić nakoniec przewagę po ich stronie. Myślano również o kasie pożyczkowej i o wielu bardzo pożytecznych urządzeniach. Były najlepsze chęci, i jeżeli to wszystko nie rozwinęło się jeszcze jak należy, wina w tem przedewszystkiem naszych inteligentnych i zamożnych kobiet, które nie wzięły dostatecznego udziału w spółce, przynosząc jej swój kapitał i swoję intelligencyją, i łącząc swój własny interes z interesami ogólniejszemi, jak również i... intelligentnych pracownic. Miejmy jednak nadzieję, że spółka przeszedłszy próbne ognie, koniecznego w takich razach wyrobienia i przełamawszy obojętność ogółu a szczególniej naszych kobiet, potrafi rozwinąć się szerzej i zgodnie z celem jaki przewodniczył założeniu instytucyi, ku czemu krokiem naprzód może być obecnie rozszerzenie zakresu handlowej działalności spółki. Niezapominajmy tylko, że najpiękniejsze dążenia, najlepsze chęci pacą się i rozbijają o obojętność ogółu, dla którego się pracuje... Życząc na teraz szczerze spółce powodzenia i wytrwania tym jednostkom, których energii spółka zawdzięcza swoje istnienie, które łamały i łamią pierwsze lody na polu organizacyi pracy kobiecej, chcielibyśmy jak najprędzej zanotować fakta szerszego jej rozwoju i powodzenia.

* * *

Jak już wspominaliśmy poprzednio zarząd kuchen tanich, znalazł się w potrzebie urządzenia koncertu na pokrycie niedoboru w kwocie rsr. 1500. Koncert odbył się otóż w dniu

31 października wieczorem w sali ratuszowej, a publiczność warszawska chętnie zawsze popierająca dobroczynne cele, bardzo w nim liczny udział przyjęła. Ogólny dochód brutto ze źródła tego osiągnięty wynosi około 1000 rubli.

* * *

Oprócz koncertu o jakiem wzmiankowaliśmy przed chwilą, w tym muzykalnym sezonie sypią się i inne niby z rogu obfitości. Mieliśmy więc już koncert pani Dowiakowskiej, i pana Zygmunta Noskowskiego a wkrótce będziemy znów mieli koncert Instytutu muzycznego, na dochód niezamożnych jego uczniów, w którym między innemi przyjmą udział śpiewaczka pani Jakowicka, pierwszy skrzypek teatru wielkiego pan Wł. Górski i pianistka cesarzowej niemieckiej panna Janotówna.

* * *

Z pewnego źródła pisze „Kuryjer Codzienny“ otrzymaliśmy wiadomość, iż panu Majzlerowi z Ciechanowca w gubernii Grodzieńskiej, udzielone zostało pozwolenie na stałe sprowadzanie do Warszawy mięsa wołowego i sprzedaż takowego mieszkańcom tutejszym *po kop. 8 za funt*. P. Majzler ma w mieście naszem urządzić jatkę lub też obrać punkt stały na odbywanie sprzedaży mięsa, a władza ze swej strony ma rozciągnąć ścisły nadzór nad tem, aby przedmiot sprzedaży był dobry i aby nie mógł być nabywany przez przekupniów, lecz się wprost dostawał ogółowi konsumentów.

* * *

Z niekłamaną przyjemnością przychodzi nam zanotować piękny „ślad życia“ w rubryce, w której po większej części same narzekania zapisywać musimy. Ale jakże się tu nie cieszyć a pociechą z czytelnikami nie dzielić, kiedy serce rośnie, kiedy czytamy o zasługach naukowych jednego ziomków naszych, zagnanego losem na dalekie wyspy Oceanu Spokojnego! Chcemy mówić, o panu *Kubarym*, o którym p. A. W. podaje piękny i sympatyczny artykuł w „Biblijotece Warszawskiej“ za listopad.

Pan Kubary jest rodem z Warszawy, gdzie ukończywszy nauki akademickie w b. Szkole Głównej, udał się do Hamburga. W mieście tem żyje mąż, któremu nauki przyrodzone a mianowicie historyja naturalna szczególniejszą winny opiekę. Mężem tym jest Jan Cezary Godeffroy, założyciel znakomitego muzeum, w którem zgromadza wszystko, co do poznania wysp Oceanu Wielkiego należy; a nie przestając na wystawieniu tych zbiorów przed oczy znających Hamburg, ogłasza o nich całemu światu w osobnem piśmie peryjodycznem, obejmującem dokładne opisy i kosztownie wykonywane wizerunki wszelkich nowo odkrywanych na owych wyspach przedmiotów. Kubary spotkał się z p. Godeffroy w r. 1868; a ten zaproponował mu bliższe zbadanie tak nazwanej Mikronezyi t. j. wysp Karolin Wielkich, archipelagu Marshalla i innych. P. Kubary tęskniący oddawna do podobnych wycieczek, czując się wspartym wiadomościami z historyi naturalnej, której wykładu w Szkole Głównej słuchał, propozycyją p. Godeffroy z radością przyjął i w maju 1869 r. opuściwszy Hamburg, po 130 dniach żeglugi przybył na wyspy Żeglarskie, zwane po krajowemu *Samoa* i tu zbadał szczegółowo kilka wysp pod względem przyrodniczym. Następnie udał się na wyspę *Jap*. Sprawozdanie p. Kubarego, mieszczące etnograficzno-zoologiczne szczegóły o tej wyspie ogłosiło towarzystwo zoologiczne londyńskie.

W lutym 1871 roku przybył p. K. na wyspy Pelew, które on nazywa Palau, i bawił na nich półtrzecia roku. Tu poprawił dawną mapę tych wysp, których opis bardzo obszerny jego pióra mieści się w IV i VII zeszycie dziennika muzeum Godeffroy. Opuścił je w maju 1873 i udał się przez Karoliny Wielkie na wschód; a w tej podróży zwiedził wyspy Uleaj, Mortlocka, Monteverda, znajdując na każdej lud odmienny, mowy sobie właściwej, wcale nie tej, którą poznał na Jap i Pelew.

W sierpniu 1873 przybył p. K. na wyspę Ascension, gdzie zabawił rok cały. Poczem udał się na pokładzie żelaznego brygu Alfred w powtórną podróż do wysp Żeglarskich, z zamiarem wrócenia stamtąd do Europy. Przy wyspach Bauhama ulega rozbiciu i traci swe zbiory, zapakowane w 100 pudłach. Po tygodniowym pobyciu na tych wyspach, gdzie znowu zapełnił 23 pudełek płodami tamecznej przyrody, przybył nareszcie do Samoa, skąd wysłał uratowane reszty swych zbiorów do Europy drogą handlową, a sam obrał drogę krótszą przez Australiję i wtedy odwiedził wyspy Tonga i Nową Zelandyją.

W czerwcu 1875 przypływa szczęśliwie do Hamburga, znajduje się na zjedzie przyrodników we Lwowie, gdzie wszystkich obecnych opowiadaniami swemi najmocniej zainteresował; ale nie spoczywa na laurach i jeszcze w tym roku wraca na wyspy Oceanii. Szczęść mu Boże!

* * *

Zanim tak potrzebne a tak pożądane koleje konne ze sfery życzeń pobożnych zstąpią na ulice Warszawy, pocieszmy się i tem że pod względem akuratnego kursowania wehikułów naszych, zaszła pewna i to wcale ważna zmiana na lepsze. Jeden z właścicieli najporządniejszych omnibusów, uzyskał przywilej wyłącznego kursowania na linii z placu Krasińskiego do Trzech Krzyżów i od punktu przecięcia Nowego Światu z aleją Jerozolimską na Solec. Omnibusy jego w liczbie 20 podobno, mają kursować po Krakowskiem-Przedmieściu i Nowym Świecie punktualnie co pięć minut i dla zachowania tej akuratności, umieszczone zostały na stacyjach omnibusowych odpowiedne słupy z zegarami. Omnibusy zaś na Solec kursować będą w stale oznaczonych godzinach. Opłata na głównej linii, pozostaje jak dotąd po 5 kop. a na linii od Nowego Świata na Solec, po $2^1/_2$ kop. od osoby. Omnibusy innych właścicieli, częścią na drugie linie w mieście przeniesione będą, częścią zaś jako zniszczone zupełnie usunięte zostaną.

* * *

Prace autorów naszych coraz częściej ukazują się w przekładach na obce języki, świeżo zaś *Revue des deux mondes*, znane powszechnie i wysoko cenione czasopismo prosiło J. I. Kraszewskiego o upoważnienie na przekład trzech jego powieści historycznych z czasów saskich, drukowanych w Biblijotece Warszawskiej: Hrabina Cosel, Brühl i Z wojny siedmioletniej. Znakomity powieściopisarz udzielił już upoważnienie żądane.

GOSPODARSTWO

I PRZEMYSŁ DOMOWY.

Legumina z ryżu z jabłkami i konfiturami powleczona pianką. Sparzyć w gorącej wodzie funt ryżu, zagotować półtory kwarty mleka, wsypać parę łyżek cukru, trochę cynamonu, wrzucić sporą łyżkę masła; skoro zawrze, włożyć ryż, pomięszać i ugotować go na sypko, dając mu się dostatecznie rozparzyć na mniej gorącem miejscu, aby się ziarna rozsypywały. Wysmarować półmisek masłem, osypać tartą bułką, włożyć połowę ryżu, na to rząd podduszonych z masłem, cukrem i cynamonem, pokrajanych jabłek, znowu warstwę ryżu, a na wierzch warstwę powideł lub jakiej owocowej marmolady. Wygładzić to zgrabnie nożem tak, aby środek był nieco wyższym niż boki, ubić pianę z ośmiu białek, zmieszać ostrożnie z dwiema łyżkami cukru, ubrać nią po wierzchu leguminę, osypać cynamonem i cukrem i wstawić w piec, uważając aby piana nabrała złotawego koloru.

W miejsce jabłek i powideł, można dla odmiany użyć śliwek świeżych lub suszonych, gotując je na miękko z cukrem i przekładając niemi ryż po wyjęciu pestek. Powyższy stosunek podany jest na dziesięć osób.

Bulijon z pomidorów. Dojrzałe pomidory oczyścić z ogonków, poprzerzynać w poprzek, tak iżby środkowe przedziały były poprzecinane, z których powinien wyciec sok i ziarna jako nieużyteczne do bulijonu. Samo mięso wycisnąć, w naczyniu glinianem na wolnym ogniu postawić i gotować przez kwadrans lub nieco dłużej, dopóki ich własny sok się nieukaże, potem przetrzeć przez sito, aby się łuska oddzieliła, a wyciśniętą marmoladę znowu gotować mięszając aby się nie przypaliła. Gdy już będzie gęsta, czystą blachę posmarować nieco oliwą, postawić równo, tę massę rozciągnąć cienko, wstawić w piec po chlebie, gdy wyschnie pokrajać, plasterki zawinąć w papier i utrzymywać w suchem miejscu. Bulijon taki długo się utrzymuje i zachowuje właściwy smak pomidorów winkowo-kwaskowaty i służy do robienia nie tylko sosów do potraw mięsnych, rybnych ale i do gotowania znanej powszechnie zupy.

Zabezpieczenie obuwia od wilgoci. W naczynu glinianem roztopić na wolnym ogniu trzy uncyje spermacety, dodać do niej sześć drachm kauczuku (*resina elastica*) pokrajanego w cienkie paseczki, który się natychmiast rozpuści, potem dodawać po trochu ośm funtów łoju wytopionego, dwie uncyje słoniny i cztery uncyje bursztynu. To wszystko dobrze umięszać trzymając na ogniu kilka minut, a następnie mięszaniną tą kiedy nie jest jeszcze zupełnie ostudzoną, wysmarować obuwie kilkakrotnie; gdy wsiąknie w skórę zwierzchnią i podeszwy,

tak w nich wszystkie pory zaklei, iż żadnej nieprzepuści wilgoci.

Mięszanina powyższa zastępuje także wybornie wszelki inny szuwaks, używany powszechnie do czyszczenia obuwia.

Krople żołądkowe. Wziąć korzeni kalmusowych i goryczki po trzy łuty, skórek pomarańczowych oczyszczonych z miazdry, ziela tysiącznika goryczki (*erythraea centaurium*) i chabru tureckiego (*centaurea benedicta*), po dwa łuty; kwiatu pomarańczowego i cynamonu prawdziwego po jednym łucie; korzenie i zioła drobno ukrajawszy, cynamon zaś potłukłszy wsypać do gąsiorka i zalać dwoma kwartami wódki francuzkiej. W letniej porze wystawić na działanie promieni słonecznych, w zimie postawić w piasku na ciepłym piecu. Moczyć przez kilka dni, a w końcu przefiltrować przez bibułę. Mały kieliszek tej wódki użyty z rana przed obiadem wzmacnia żołądek i sprawia dobry apetyt.

Eliksir na dziąsła. Wziąć sproszkowanego korzenia bertramowego (*radix Pyrethri*) trzy łuty, sproszkowanego korzenia tatarakowego cztery łuty; chrzanu tartego trzy łyżki, wsypać to wszystko do butelki, zalać kwaterką mocnego spirytusu rozcieńczonego na poły wodą, wystawić w lecie na działanie słońca a w zimie postawić na ciepłym piecu, niech tak moknie przez trzy doby, a potem przefiltrować przez bibułę. Przygotowanym w ten sposób płynem, należy codziennie z rana przepłukiwać usta.

ROZMAITOŚCI.

— Jako komentarz do artykułu „Bośnija i Hercogowina" pomieszczonego w dzisiejszym numerze „Opiekuna," a dalej jako komentarz do łask zapewnionych ludności tych krajów przez sułtańskie „irade," przytaczamy z dziennika angielskiego „Times" i brukselskiego „Nord" co następuje:

Podług doniesienia z Mostaru datowanego 30 października, konsulowie wielkich mocarstw jednozgodnie oświadczyli iż Porta w obecnych okolicznościach, nie byłaby w stanie przywrócić spokojności w powstałych prowincyjach i że poparcie ze strony mocarstw zdaje się niezbędnem. Jest to jednak tylko powtórzenie dawniejszej wiadomości, zawartej jakoby w memorandum ajenta angielskiego z Mostaru.

W dzienniku „Nord" znajdujemy znowu szczegóły o ścięciu przez turków znakomitszych mieszkańców Popowa, pomiędzy Klekiem i Trebinią. Oto co piszą w tym przedmiocie: „Na równinie Popowa przemieszkuje ludność prawie wyłącznie katolicka, która nietylko że nie brała żadnego udziału w powstaniu, ale nawet wspierała wojska tureckie przy uśmierzaniu takowego. Oddział tych ostatnich, pod rozkazami Hussein-paszy, nagle ujął siedmiu szlachty z owych wsi i zabił ich bez wyroku. Mieszkańcy przestraszeni uciekają na wszystkie strony a głównie do Raguzy, gdzie przybycie ich spowodowało ruch nie do opisania. W skutek tego nowego przypływu, liczba wychodźców przybiera znaczne rozmiary.

Mordowanie znakomitszych chrześcijan zawsze leżało w systemacie rządów tureckich, które od czasu swych zdobyczy, starały się ludność trzymać w postrachu i pozbawiać ją jej naturalnych przywodców. Tego rodzaju wypadki spowodowały powstanie Serbii w latach 1804 i 1850, a podobnież rozpoczął się i ruch teraźniejszy. Trzej znakomitsi mieszkańcy z Popowa, zawezwani zostali listem komendanta Stolaczu, aby przybyli do miasta i przedstawili mu zażalenia chrześcijan. Przychylni osobiście rządowi tureckiemu, nie wahali się z zadośćuczynieniem wezwaniu. Przybyli do gubernatora który im kazał przygotować ucztę i biesiadował z nimi. W chwilę potem pościnano im głowy.

Zamordowanie siedmiu chrześcijan, którzy nigdy nie uczestniczyli w powstaniu zatrzymuje jeszcze bardziej w Raguzie i Czarnogórzu zbiegłe rodziny, które już wracać chciały do ojczyzny. Nędza ich doszła obecnie do najwyższego stopnia."

— Postanowieniem króla włoskiego, pozwolono kobietom uczęszczać do szkół i uniwersytetów i starać się o stopnie naukowe na wszystkich wydziałach, na równi z mężczyznami i podług ogólnie przyjętych zasad. W Cambridge otworzono również nową szkołę wyższą dla dam.

— Na wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły następujące dzieła: 1) Chełmońskiego Józefa, dwa obrazy: „Noc letnia" i „Wołyńskie miasteczko." 2) Kostrzewskiego Stanisława „Krajobraz," 3) Perl Edmunda „Konie pocztowe," 4) Redlicha Henryka, miedzioryt: „Kazanie ks. Skargi z obrazu Matejki," 5) Brodzkiego Wiktora „Amor śpiący" z bronzu; 6) Górnickiego Józefa, Cymboryjum podług projektu budowniczego Kiślańskiego Zygmunta.

— Matejko pracuje obecnie nad obrazem przedstawiającym bitwę Polaków z krzyżakami pod Grünwaldem. Na obrazie przedstawiona jest chwila, w której Witold, brat Władysława Jagiełły, potężnem swem wdaniem się w bitwę, szalę zwycięztwa na korzyść Polaków przeważa. Obraz ma być olbrzymich rozmiarów. Skończony będzie ów obraz bitwy pod Grünwaldem nie prędzej prawdopodobnie jak za lat dwa.

— Południowym gub. Cesarstwa grozi wielkie niebezpieczeństwo od szarańczy, która zakopała się w wielu miejscowościach na zimowe leże. W Benderskim powiecie, według urzędowych doniesień objęła ona przestrzeń 2,080 dziesięcin, według zaś wiadomości prywatnych dostrzeżono już ślady szarańczy na 10,000 dzies.; to samo dzieje się i w pow. Akermańskim. Jeszcze groźniejszemi są doniesienia z Bessarabii, gdzie szarańcza zajęła przestrzeni 500,000 dziesięcin. Ziemstwo ma radzić nad zapobieżeniem strasznej tej klęsce, która wspólnie z posuchą zeszłego lata przyprawić może tamtejsze rolnictwo o ruinę. Gubernija Chersońska jest również zagrożoną nawiedzeniem szarańczy.

— „Birżewyje Wiedomosti" piszą że przy dorpackim uniwersytecie ma być otwartą szkoła przygotowawcza dla dozorczyń przy chorych. Inicyjatywa tego projektu wyszła od towarzystwa opieki nad choremi i rannemi. Rygskie, mitawskie i rewelskie oddziały tego towarzystwa wspólnie z niektóremi profesorami dorpackiego uniwersytetu, opracowały program szkoły, który pozyskał zatwierdzenie głównego zarządu towarzystwa. Szkoła mieścić się będzie przy klinice chirurgicznej uniwersytetu a zarząd nad nią mieć będzie jeden z członków przez towarzystwo wybrany, reprezentanci oddziałów towarzystwa rygskiego, mitawskiego i rewelskiego oraz dyrektor kliniki. Do szkoły wstępować mogą kandydatki od lat 18 do 32. Kurs ma trwać przez rok jeden. Uczennice dzielą się na stałe i przychodnie. Stałe utrzymywane będą kosztem towarzystwa.

— Ministerstwo komunikacyi upoważniło zarząd drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej do przyjmowania kobiet na telegrafistki. Procent takowych może wynosić piętnaście na stu mężczyzn. Pierwszeństwo zostawia się żonom telegrafistów. Kobieta obejmująca podobną posadę, musi mieć lat ośmnaście skończonych. Podobno już jedna telegrafistka objęła miejsce na stacyi Aleksandrowo.

— Tak ważna sprawa regulacyi koryta Wisły wchodzi przecież na pewniejsze nieco tory, dotychczasowe bowiem studyja i prace nie zasługiwały nawet na miano przygotowawczych. Dopiero w ostatnich dniach nieledwie, wzięto się energiczniej do pracy, wyznaczono specyjalną komisyją, mianowano członków-techników i rzecz poszła na dobrą drogę. Ponieważ Wisła studyjowaną jest na całej swej przestrzeni, przeto posiedzenia komisyi utworzonej z tego powodu z przedstawicieli różnych państw, odbywają się w punktach nad Wisłą położonych. W miesiącu bieżącym miejscem tych posiedzeń jest miasto Kraków. W zasiadającej tam komisyi ze strony Rossyi uczestniczy inspektor Kościeniecki i inżenier Russyjan. Przy sposobności dodajemy, że ze strony władz rossyjskich wydatkowano dotychczas na ten cel sumę 30,000 rubli.

— Dzienniki francuzkie donoszą, że córka dzierżawcy domu gry w Monaco, panna Blanc, zaślubia porucznika księcia Radziwiłła, wnosząc mu milijon franków posagu.

— Pan Zygmunt Noskowski przyjął ofiarowaną sobie posadę dyrektora orkiestry towarzystwa muzycznego w Konstancyi i nie długo udaje się na miejsce przeznaczenia.

— Dnia 31 z. m. Lwów był świadkiem i uczestnikiem pięknej uroczystości. Z najdalszych okolic Galicyi, zjechali się tłumnie strażacy w swych malowniczych strojach, wszystkie miasta mające zorganizowaną straż pożarną, wysłały po kilku delegatów, którzy uczcili odwiedzinami świątynie wszystkich czterech wyznań we Lwowie (katolicką, unicką, protestancką i izraelską), poczem nastąpiły obrady w sali ratuszowej, które zajęły parę posiedzeń rozpoczętych stosownemi przemowami: prezydenta miasta, dr. Millereta naczelnika straży lwowskiej, i p. Rewakowicza. Celem zjazdu delegatów było utworzenie związku straży pożarnych; statuta odpowiednie były już gotowe; i przyjęło je z małemi zmianami 34 straży. Straż krakowska acz reprezentowana na zjeździe, nie przystąpiła do związku, dla tego, że nie przyjęto jej warunku, aby siedziba zarządu związkowego była przenośną: we Lwowie i w Krakowie, gdy tymczasem ogromna większość delegacyi postanowiła aby siedlisko zarządu było we Lwowie. Gdy jednak na miejsce przyszłego zjazdu obrano jednogłośnie Kraków, delegaci krakowscy przyjęli tę myśl ochoczo i oświadczyli nadzieję przystąpienia także do związku, po zasiągniętym zdaniu, gdzie należeć będzie. Naczelnikiem związku obrany został p. Milleret Józef, sekretarzem Rewakowicz. Na członków rady wybrano siedmiu mieszkańców różnych miejscowości, oraz trzech na zastępców i trzech do komissyi kontrolującej. Stowarzyszeni opłacać będą po 10 centów od osoby na rok, do kasy związkowej. Przy sposobności była także wystawa narzędzi strażackich i odpowiednie popisy. Na pamiątkę zjazdu wybito medal.

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Октября (11 Ноября) 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.